

MARIA PRUSZKOWSKA

PRZYŚLĘ PANU LIST I KLUCZ

Książkę tę ofiarowuję maniakom czytania M. P.

I. OJCIEC I KSIĄŻKI

„Musisz przyznać, Panie Boże, że ci pokoju nijak nie zakłócam i proszę tylko, byś mi tą samą miarką odpłacił”.

Te słowa Colasa Breugnona były najczęstszym powiedzeniem naszego Ojca i najbardziej pasowały nie tylko do niego, ale i do atmosfery, którą stwarzał koło siebie. Moja siostra i ja wzrosłyśmy w tej atmosferze, uznałyśmy, że jest urocza i nic nie zmieniając kwitłyśmy w niej ogromnie zadowolone i szczęśliwe.

Ojciec też był szczęśliwy, ponieważ owinąwszy w watę spokoju siebie i nasz dom, mógł bez reszty oddać się swemu hobby, czyli zamiłowaniu, które nie wiadomo kiedy z marginesu życiowego stało się dla niego samą istotą życia.

Istotą życia Ojca były książki. Ojciec czytał ciągle. Czytał przy jedzeniu, czytał w pociągu i w tramwaju, i na przystanku. Czytał po południu w fotelu, wieczorem w łóżku.

Najważniejsze obowiązki życiowe odwał - można by powiedzieć - szybko, uczciwie i precyzyjnie, nie wkładając w nie serca ani zapału. Odwał je też cierpliwie, nigdy się nie buntując, ażeby kupić sobie prawo do zatracania się w książkach podczas godzin należących do niego.

Posiadaliśmy w naszym mieszkaniu dwie biblioteki. Pierwszą nazywaliśmy „Miesiąc Zatajony” według pięknej nazwy herbu pana Snitko z *Pana Wołodyjowskiego*. Była to dość obszerna szafka, kryjąca skarby swego wnętrza za przesłoniętym tkaniną szkłem. „Zatajone” - tam były książki ukochane, książki, które czytało się po wiele razy i do których wracało się ciągle. Klucz do tej szafki chowaliśmy w zegarze, lecz dla najbliższej nawet rodziny i przyjaciół był niby zawsze zagubiony. Pod tym względem byliśmy obrzydliwie egoistyczni. Chętnego do pożyczenia książek częstowaliśmy różnymi Zarzyckimi, Deliami i tym podobnymi głupstwami, które znajdowały się w bibliotece numer dwa, na półkach w przedpokoju. Tę drugą bibliotekę nazywaliśmy „Dary Księżycowe” od tytułu bardzo głupiej książki Farnola. Chętnie wypożyczaliśmy książki z tych półek, bo jeśli nawet jakieś Dary Księżycowe wywędrowały z naszego domu na wieczne nieoddanie, nikt się tym nie przejmował. Znajdowały się tam bowiem książki kupione bez przemyślenia lub przypadkowo, do których nikt nie miał zamiaru wracać i czytać ich powtórnie.

Ojciec uważał, że książki, której nie ma się zamiaru czytać powtórnie, nie warto czytać po raz pierwszy. Mądra ta zasada zupełnie nie przeszkadzała mu pochłaniać wszystkiego, co wpadło w rękę.

Ojciec nigdy nie czytał tylko jednej książki. Na ogół najmniej trzy na raz, a czasem cztery i pięć. Stworzył sobie swój własny system, z którego podśmiewaliśmy się w młodości, ale który z wiekiem przejęliśmy. Na jego stoliku leżało zwykle kilka książek, które określał: - To są książki w

transie. - Książek tych nie wolno nam było ruszać. Dorwać się do nich mogliśmy dopiero wtedy, gdy wyszły z transu, czyli gdy Ojciec już je przeczytał. Rozróżnialiśmy w tym stosie następujące działy według naszej klasyfikacji: jedna książka to była zwykła „piła”, czyli książka naukowa lub popularnonaukowa, drugą nazywaliśmy „kobyłą” - była to monografia lub powieść historyczna albo jakiś cięższy kaliber beletrystyczny, trzecią był zwykle jakiś Dar Księżycowy, czyli coś z zakresu bardzo lekkiej beletrystyki, czwartą jakiś Miesiąc Zatajony, czyli książka znana, kochana, którą co jakiś czas czyta się znów od początku.

Poza tym na stoliku przy książkach leżały stosy atlasów, ponieważ wraz z bohaterami Ojciec odbywał wszystkie podróże, częściowo w wyobraźni, częściowo palcem na mapie.

Co parę dni wyruszał Ojciec z taczka na żer. Odwiedzał wtedy dwie biblioteki związkowe i jedną wypożyczalnię prywatną, z których przynosił nowe naręcza. Miał też swoje meliny u różnych przyjaciół i znajomych, którym rewanżował się tylko Darami Księżycowymi.

Gdy natrafił na jakiś rodzynek książkowy i pragnął go mieć w Miesiącu Zatajonym, kokietował Matkę i czarował, usiłując jej wytłumaczyć, że dla całej rodziny będzie korzystniej nabyć tę właśnie książkę, a bez maszynki do mięsa można się przecież obejść, bo któż o duszy wzniosłej zwraca uwagę na to, jakie zjada kotlety: bite czy mielone.

Ojciec oddawał Matce wszystkie zarobione pieniądze i był abnegatem życiowym. Twierdził za Chestertonem, że: „żeby dojść do majątku, trzeba być dość głupim, aby tego pragnąć”. Nie pragnął więc majątku i nieliczne okazje, jakie z pewnością zdarzały się w jego życiu, zbywał wzruszeniem ramion.

Nie wiem, czy to wszystko, co tu o Ojcu naszym napisałam, dobrze o nim świadczy, ale my z Aliną uważaliśmy, że jest nadzwyczajny i że nie ma na świecie drugiego takiego Ojca jak nasz.

Najbardziej uwielbiałyśmy ten specjalny język książkowy, który Ojciec zaprowadził w naszym domu. Dla bratnich dusz w literaturze był to Język zrozumiały, dla osób nieoczytanych - kompletna chińszczyzna.

Gdy na przykład nie udało się czegoś załatwić, Ojciec mówił: - Bar wzięty. - Litościwe ubolewania rodziny nad naszą zwykle dość ciężką sytuacją materialną, która jemu zupełnie nie przeszkadzała być szczęśliwym, likwidował powiedzeniem z *Krzyżowców* Kossak - Szczuckiej: - Nigdy nie miał szczęścia, od dziecka mi się nie wiedzie, bom i młodszy się urodził, i białkę mam puklatą, i ludzi w górach potracił... - czym rodzinie zwykle zamykał usta, bo i cóż na to można było odpowiedzieć? Gdy otworzył drzwi któremuś z naszych amantów, podczas kiedy miody człowiek zdejmował płaszcz, Ojciec wsadzał głowę do pokoju i informował rodzinę teatralnym szeptem: - Panas Kmitas! - co bawiło nas niesłychanie, a Matkę bardzo złościło.

Do nas nie mówił inaczej, jak: - Moje panny córki - nawet i potem, gdy już ten zwrot nie miał najmniejszego zastosowania.

II. KSIĄŻKI I MATKA

- „Pan Bóg po to stworzył Ewę, ażeby obmierzić Adamowi pobyt w raju” - cytował zwykle Ojciec z *Lalki* Prusa, gdy Matka zaczynała mówić i przerywała mu czytanie.

W ogóle Matka moja wychodząc za mąż za Ojca nie była w najmniejszym nawet stopniu przygotowana na to, co ją w nowym domu czeka. Wychowała się w bardzo licznej rodzinie. Pięć sióstr, brat, całe zastępy sióstr i braci ciotecznych i wujecznych, kuzynek i kuzynów sprawiało, że żyła w domu pełnym gwaru, zabaw i kłótni, kłopotów i rozrywek. Od dziecka przyzwyczała się do życia w dużej gromadzie, gdzie bez przerwy coś się działo, gdzie ciągle ktoś coś mówił, ciągle ktoś wychodził, ktoś wchodził, ktoś wracał, gdzie każdy dzień przynosił nowe wrażenia.

Poznawszy Ojca zakochała się w nim całym sercem, całą duszą i na całe życie. Ale po ślubie, gdy przeniosła się do dwupokojowego mieszkanka i otoczyła ją wielka cisza dnia powszedniego we dwoje, zaczęła się trochę nudzić i męczyć. Irytowała się i męczyła tym bardziej, że życie wyglądało tak jednostajnie i tak różnie od tego, do którego przywykła. Skończył się gwar, który Matkę otaczał, a zaczęło życie w ciszy wprost klasztornej. Rano Ojciec wychodził do pracy i Matka zostawała sama. Gdy wracał, pakował nos w książkę, i Matka znów była sama.

Do książek nie była przyzwyczajona. W poprzednim jej życiu nie było na nie miejsca. Rozgwar bardzo licznej rodziny, stłoczonej w małym mieszkanku, nie sprzyjał skupieniu i zagłębieniu się w lekturze. Teraz zaś, gdy miała do czytania warunki i zachętę ze strony Ojca, znienawidziła książki. Książki bowiem zabierały jej męża. Była o nie zazdrosna.

Jeszcze bardziej zazdrosna była o bohaterki książkowe. Wydawało się Matce, że Ojciec otacza miłością i uwielbieniem nie ją, tylko te wszystkie heroiny, o których rozczytywał się w chwilach wolnych od najważniejszych obowiązków.

Straszliwe zwątpienie w miłość męża ogarnęło ją, gdy spostrzegła, że Ojciec właściwie nie używał nigdy jej imienia. Odpowiednio bowiem do czytanej w tej chwili książki zwracał się do niej imieniem bohaterki.

Była więc: Julią i kniaziówną, i panienką z okienka, i Madzią, Zosią i Lilią Wenedą, Jagną i Jagienką, księżną Sanseverina, a nawet Makbetową...

Kiedyś, gdy byłyśmy już dorosłe, zebrało się Matce na wspomnienia i zwierzenia. Opowiedziała nam więc o swoich przeżyciach, zwątpieniach i tragediach pierwszych lat małżeńskiego pożycia.

- Nie wiedziałam wtedy - mówiła do nas - że albo trzeba męża kochać takim jakim jest, albo powstanie w domu piekło, a potem obopólna niechęć, nienawiść i żale, które zniszczą wymarzone przed ślubem szczęście... Kiedyś, gdy nie mogłam sobie już dać rady z moimi wątpliwościami, zdobyłam się na odwagę i rozpoczęłam z waszym Ojcem rozmowę. Zwierzyłam mu się, że chcę

być kochana dla siebie samej, że nie chcę być Ofelią, nie chcę być Dorą, czyli dzieckiem - żoną, nie chcę być tą całą galerią bohaterów. Mówiłam do niego chyba z godzinę, wylewając cały nagromadzony przez długie miesiące żal... I jak wam się zdaje? Jak on na to zareagował? Naturalnie po swojemu! Poklepał mnie po plecach, pokiwał głową i po wiedział: - Boska moja! Tak im do ciebie, jako właśnie cynowym misom do miesiąca. Tak waćpannę miłuję, że dychać nie mogę... Miłuję waćpannę i piechotę, i na koniu, i na czczo, i po jedzeniu, i na wieki, i po szkocku... Oleńka. Ej, Oleńka!

Tu Matka roześmiała się do swoich młodych wspomnień...

- No i co miałam z takim mężem robić? Jak same widzicie, musiałam zrezygnować z moich osobistych pragnień i ambicji - dodała zupełnie bez żalu i bez gorczy.

Podczas naszego dzieciństwa Matka z impetem i bez reszty oddała się obowiązkom macierzyńskim. Gdy jednak trochę podrosłyśmy, okazało się, że zaczął się drugi akt niedoli naszej rodzicielki. Bo nie tylko odziedziczyłyśmy po Ojcu jego zamiłowania, ale nie wiadomo nawet kiedy i jak Ojciec urobił nas na obraz i podobieństwo swoje.

Matka usiłowała zrobić ze swego domu normalny dom rodzinny, ale jej się to nie udawało, bo była w nim „mniejszością narodową”.

- To nie dom, ale publiczna czytelnia - użalała się zwykle przed swoimi siostrami, narzekając na nasze obyczaje, które, pomimo jej sprzeciwu, kwitły sobie spokojnie.

Trudno jej się dziwić, jeżeli na przykład obiad i kolacja, jedyne momenty zgromadzające rodzinę dwa razy na dzień, wyglądały mniej więcej tak.

Na wołanie Matki:

- Obiad na stale! - z trzech miejsc w naszym mieszkaniu podnosiły się trzy lunatycznie zaczytane postacie i doczytując jeszcze ostatnie zdania w drodze zdążyły do stołu. Każdy siadał na swoim zwykłym miejscu i powstawało krótkie zamieszanie o cukiernice, solniczki i inne podstawki pod trzy książki. Ojciec, jako najsilniejszy, zdobywał zawsze dla siebie cukierniczkę. My z Aliną wrywałyśmy sobie talerz z chlebem, po cukiernicy najlepsze na stole oparcie. Ojciec, który zawsze przy obiedzie był w najciekawszym miejscu i któremu nasze jazgotanie przeszkadzało, uciszał nas przyjacielskimi klapsami. I wtedy zapadała błoga cisza, i „słysząc było tylko smakowite siorpanie”. Nasza trójka z nosami w książkach łykała to, co znalazło się na talerzach, nie bardzo zwracając uwagę na ilość i jakość posiłku.

Co jakiś czas Matka buntowała się i zaczynał się tak zwany „monolog Hamleta”.

Stwierdzała, że zupełnie nie jest potrzebna w naszym domu, niepotrzebnie gotuje i niepotrzebnie się stara, ażeby przygotować posiłki zdrowe i smaczne, bo my i tak nigdy nie zwrócimy na to uwagi i nie potrafimy jej poświęcenia ocenić. Potem atakowała książki i stwierdzała, że, zawsze zaczytani, nie zwracamy na Matkę uwagi, że się z nią nie liczymy, nigdy z

nią nie rozmawiamy i tak dalej, i tak dalej...

Ojciec w takich momentach przerywał Matce i przyznawał rację nie pozwalając jej się za bardzo rozzalić. Odkładał swoją książkę i kazał nam przerwać czytanie, ku naszej złości. Oznajmiał też głosem pełnym zapału:

- No to dziś sobie porozmawiamy przy stole!

Matka uśmiechała się życzliwie, czekając na dalszy ciąg.

Po minie Ojca widać było, że rozpaczliwie szuka tematu do rozmowy, w końcu z rozjaśnioną twarzą oznajmiał:

- Właśnie Szwedzi oblegają jeszcze Częstochowę, a Kmicic przeprowadza króla przez góry... - tu przerywał, bo nie bardzo wiedział, co dalej powiedzieć.

Więc Alina i ja, chcąc mu przyjść z pomocą, ratowałyśmy sytuację po naszymu.

- Boryna na wycug do Antka nie pójdzie - oznajmiała Alina.

A ja dorzucałam ni w pięć, ni w dziewięć:

- Na ślub Alżusi Bohatyrowiczówny Witold sprowadził Martę Korczyńską.

Matka wzruszała ramionami na te próby zawiązania rozmowy po naszymu i bez jednego słowa podawała drugie danie.

Były to więc dla Matki nowe lata w cieniu zakwitającej literatury.

Ale najgorszym bodaj okresem w jej życiu były nasze szkolne czasy.

Co dzień musiała się z nami użerać, wydierać nam książki i zmuszać Alinę i mnie do odrabiania lekcji. Zamykała Miesiąc Zatajony na klucz i klucz nosiła przy sobie. Dary Księżycowe z przedpokoju zostały zamknięte w kredensie.

Wobec tego przynosiłyśmy książki od koleżanek, a złapane na czytaniu, dowodziłyśmy Matce, że jest to obowiązkowa szkolna lektura domowa.

Matka usiłując wyrobić w nas poczucie obowiązków i przyzwyczaić do uczciwego ich spełniania, bardzo poważnie podchodziła do wszelkich spraw szkolnych. Kontrolowała plan, interesowała się tym, co zadane, piklowała odrabianie lekcji. Do lektury szkolnej też podchodziła z nabożeństwem, i to tylko nas ratowało. Łgałyśmy na potęgę i masy książek udało nam się w ten sposób przemycić. Matka tylko dziwiła się, że tych książek jest tak dużo, ale opowiadałyśmy w domu, że mamy taką nauczycielkę, która dużo każe czytać, bo czytanie wyrabia styl...

Bomba pękła dopiero, gdy Alina przyniosła *Józefa Balsamo* Dumasa i bez zmużenia oka dowodziła, że to też będzie zmuszona przeczytać na polecenie nauczycielki.

Matka wezwała Wszystkich Świętych i Ojca na świadków, że to chyba niemożliwe.

Wszyscy święci okazali brak zainteresowania tą sprawą, a Ojciec ryczał ze śmiechu. Wobec tego Matka poszła do szkoły, zgłosiła się do nauczycielki i przyniosła spis obowiązkowej lektury domowej na ten rok szkolny.

Wpadłyśmy szpetnie, bo wszystko się wydało.

Wiele miesięcy trwały szarpaniny, walki podjazdowe, zasadzki i boje otwarte. Ojciec podrwiwał sobie z tego stanu rzeczy i deklamował *Ernestynkę* Boya:

Z książkami tyż była heca:

Wszystkie powrzucał do pieca,

Choć sam nie wiedział dlaczego,

Co ma jedno do drugiego...

Wiersz ten doprowadzał Matkę do białej gorączki. W końcu Ojciec, który ukochał pogodę i harmonię w domu, a nade wszystko spokój, wkroczył między dwie walczące ze sobą strony i dzięki niemu ustalil się zwyczaj, że nie wolno nam czytać, póki nie odrobimy lekcji i nie wydeklamujemy ich Matce. Dopiero potem mogłyśmy się oddać naszemu zamiłowaniu - hulaj dusza bez kontusza! Bo przecież, gdyby było inaczej, nie wiem, czy przeżyłybyśmy ten okres szkolny, tak ciężki dla każdego normalnego człowieka.

Trudno powiedzieć, ażeby Matka była zachwycona tym stanem rzeczy. Ale pocieszała się myślą, że życie jest życiem i więcej w nim trosk i zawodów niż radości.

Po wielu latach walk z książkami i o książki sprawdziło się jednak na naszej Matce przysłowie: „Kto z kim przestaje, takim się staje!”

Przez długie lata opierała się zgubnym wpływom książek i walczyła z nimi, aż w końcu uległa. Był co prawda okres, jak nazywałyśmy, „przejściowy” kiedy zasypiała z książką w ręku. Wtedy Ojciec odgrywał scenę z *Klubu Pickwicka* i budząc Matkę mówił:

- Joe! Przeklęty chłopak, znowu śpi!

Po paru latach Matka rozczytała się tak jak my i przyjęliśmy ją do naszej kompanii „trzech muszkieterów”.

III. KSIĄŻKI I ALINA

Kiedy Alina miała się urodzić, Matka i Ojciec, tak jak to jest dziwnie ze wszystkimi rodzicami na świecie, nie wiedzieli, kim los ich obdarzy: synem czy córką. Według więc zwyczajów panujących od niepamiętnych czasów zastanawiali się nad wynalezieniem imienia dla przyszłego potomka, rozpatrując oba możliwe warianty.

I na ten temat nastąpiło znowu „rozdwojenie jaźni” między zgodnymi i miłującymi się w tym okresie małżonkami.

Matka, która wyszła ze spokojnej mieszczańskiej rodziny, nie mając żadnej styczności z wybujałymi i fantastycznymi indywidualnościami, pragnęła, gdyby był syn, imienia Władysław, po swoim ojcu, lub Jerzy po ojcu Ojca. W ten sposób wybierano imiona w rodzinie Matki, tak było u powinowatych i między Matki znajomymi. Nie do pomyślenia więc było postąpić inaczej. Gdyby zaś nie urodził się syn, tylko córka, zdecydowana była na najbardziej popularne w tym okresie imiona: Maria lub Zofia.

Toteż do rozpaczki doprowadzały ją marzenia i projekty Ojca. On bowiem przy wyborze imienia dla syna wahał się pomiędzy Romeem, Cyranem, Orlandem a Bohunem. Dla przyszłej córki zdecydowany był niezłomnie na trzy imiona; Izolda, Jagna, Lizystrata. Prośby i groźby Matki nie dawały rezultatu.

Do sporu wtrąciła się liczna rodzina Ojca i jeszcze liczniejsza rodzina Matki. Wypisywano na kartkach imiona bohaterów i bohaterek brzmiące normalniej na co dzień. Ojciec był nieprzejednany, a Matka zalewała się łzami.

Los jednak zdarzył inaczej, bo Alina znudzona tymi sejmami rodzinnymi na temat jej imienia, urodziła się wcześniej niż ułożono. Ojciec wtedy był w jakiejś podróży. Życzliwa rodzina korzystając więc z choroby Matki i nieobecności Ojca porwała dziecko do kościoła i prędko ochrzciła je imieniem: Alina. Imię to zostało wybrane przez ciotki, wujków i stryjków szybko i jednogłośnie, ponieważ tak nazywała się najbogatsza z ciotecznych babek. Ta babka była zdziwaczałą starą panną, podobno siedzącą na pieniądzach, a na pewno pośród gromady psów i kotów, które uwielbiała. Uważano, że taki gest w jej kierunku zobowiąże ją do opiekowania się Aliną i rojono już, że Alina zdobędzie jej serce i odziedziczy cały majątek.

Jak przewidująca i troskliwa rodzina zaprojektowała, tak się i stało. Ale babka żyła jeszcze dziesięć lat i przez ten czas przejadła wraz z psami i kotami cały, niewielki zresztą, kapitalik. Alina zaś odziedziczyła, ku złośliwej radości Ojca, trochę srebrnych łyżek, widelców i noży oraz pozłacaną staroświecką cukiernicę z urwanym uchem.

Pomimo że Alina nie otrzymała na chrzcie imienia żadnej z bohaterek, odbijała to sobie w życiu, odgrywając po kolei każdą z postaci przeczytanej książki.

Pierwszy wyczyn w tym kierunku przytrafił się, kiedy miała cztery lata. Otrzymała wtedy książkę *O Janku wędrowniczku* Marii Konopnickiej. Ojciec czytał jej te wierszyki parę razy. Gdy już dobrze rozumiała, o co chodzi, upatrzyła odpowiedni moment i wywędrowała z domu przed siebie. Odnaleziona po półtorej doby rozpaczliwych poszukiwań w komisariacie policji na Pradze, otaczając szyję Ojca rączkami szepnęła mu do ucha:

I daleko pójdę w świat,

Bom nie baba, jeno chwat!

I taką już wariatką została na całe życie.

Każda książka, którą nam czytał Ojciec, i później, kiedy czytałyśmy już same, musiała być odegrana ze szczegółami w naszym dzieciennym pokoju. Naturalnie odtwarzana była w takim układzie, że Alina była głównym bohaterem lub bohaterką. Ja, jako młodsza od niej o prawie półtora roku, byłam w tym okresie jej niewolnicą i musiałam robić to wszystko, co ona mi kazała i zadowalać się rolami drugorzędnymi. Musiałam też przerzucać się z roli do roli, ażeby całość jako tako się trzymała.

Największy chyba szal ogarnął Alinę po przeczytaniu nam przez Ojca *W pustyni i w puszczy*. Nie pamiętam też w życiu bardziej ciężkich i pracowitych dni niż te, jakie na mnie wtedy spadły. Musiałam być Stasiem Tarkowskim i Dinah, Sabą i Mahdim, Idrysem, Gebhrem i Kingiem, Meą i Kalim. Ciągłe strofowana przez Alinę i ciągle poprawiana, ganiałam bez tchu po naszym pokoju pomiędzy meblami stale przestawianymi odpowiednio do każdej sytuacji. Najtrudniej było zbudować drzewo - Kraków. Krzesła, deska do prasowania, rozpostarte na tym koce i dywaniki ciągle się rozlatywały, gdy tylko Alina jako Nel układała się pod nimi, ażeby chorować na febrę. Za którymś razem, gdy ja jako Staś też weszłam pod tę skomplikowaną budowlę, wszystko zawaliło się nam na głowy i jedno krzesło wyrznęło Alinę w czoło tak, że wyskoczył jej wielki guz. Gdy sapiąc wygrzebałyśmy się spod ruin „drzewa”, Alina, nie zrażona i uparta, jak zawsze, wpadła na pomysł, że krzesła musimy powiązać sznurkami, żeby się tak ciągle nie przewracały.

Zmęczone więc, z wypiekami na twarzach zaczęłyśmy znowu budować „Kraków” od początku. Tym razem udało się cudownie, Alina jako Nel leżała na dywaniku i już nareszcie chorowała na tę febrę. Ja jako Staś poszłam za szafę do obozu Lindego. Zaraz jednak musiałam wrócić i uwiązać się na sznurku za szyję, ażeby jako Saba nie polecieć za Stasiem. Wszystko szło świetnie, gdy nagle otworzyły się drzwi i weszła uśmiechnięta Matka.

A w co się bawicie, córeczki? - zapytała.

Boję się, boję! - zajęczała Alina pod krzesłami.

Co się stało? Czego się boisz? - zapytała już trochę zaniepokojona Matka.

- Czemu Gebhr i Chamis chodzą koło drzewa i zaglądadają tu do mnie? - zaskrzeczała Alina grobowym głosem.

Matka przykłęka koło naszej misternej budowli i wsadziła głowę do środka. Jej rodzicielskie troskliwe spojrzenie padło na Alinę leżącą na dywaniku.

- Co ci jest, córeczko? - zapytała. - Czy jesteś chora?

Tu wyciągnęła rękę i położyła ją zwykłym matczynym gestem na czole Aliny. Trafiła naturalnie zaraz na guz, który już w tej chwili był wielkości śliwki. Pomyślawszy więc, że Alinie pewnie coś się stało, Matka wzięła ją na ręce i zaczęła wyciągać spod naszego „Krakowa”.

- Boję się, boję! - jęczała w trakcie tego Alina. Cała kolejność akcji zepsuła się zupełnie. Matka stwierdziwszy, że Alina jest rozgorączkowana, zaczęła wołać Ojca, powtarzając jednocześnie:

- O Boże! Boże! Pewnie dziecko chore!

Alina bredziła coś dalej o Gebhrze, o Chamisie, i lwie i zwisała zupełnie bezwładnie na rękach Matki. Więc ja wierna Alinie przypomniałam sobie, że jestem Sabą i zaczęłam szczekać z całych sił. Świetnie udawałam psa i doskakiwałam do Matki, niby w obronie Aliny.

Na tan cały harmider wpadł Ojciec. Potężnym klapssem, który chyba dotychczas jeszcze czuję, uspokoił moje szczekanie. Rozplątał sznurek na mej szyi, który, nie wiem dlaczego, tak bardzo się zacisnął. Odebrał Matce Alinę, przeniósł do drugiego pokoju, a że dalej była bezwładna, położył ją na łóżku. Usiadł przy niej i wzięwszy jej dłoń w swoją patrzył na nią badawczo. Matka stała w nogach łóżka z załamanymi rękami. Ja przycupnęłam na podłodze i czekałam, co będzie dalej. Przez jakiś czas panowała naprężona cisza. Więc Alina zaczęła znowu swoje:

- Boję się, boję! Czemu Gebhr i Chamis chodzą koło drzewa i zagląдают tu do mnie?

Na to Ojciec roześmiał się z ulgą. Zdjął Alinę z łóżka, postawił na nogi, przyłożył teraz jej solidnego klapsa i powiedział:

- No to idźcie się bawić dalej!

Roześmiałyśmy się w końcu i my obydwie. Skorzystałyśmy też zaraz z pozwolenia i pobiegłyśmy do naszego pokoju, gdzie już bez przeszkód rozwijałyśmy wszystkie dalsze przygody Stasia i Nel.

Ale dlaczego rodzice ze sobą się pokłócili, jeżeli nic się przecież złego nie przytrafiło, nie mogłam wtedy zupełnie zrozumieć.

Gdy trochę podrosłyśmy i wskutek tego bardziej zbliżyłyśmy się do siebie wiekiem, udało mi się wydostać spod wpływu Aliny. Przestałam być jej niewolnicą wykonującą posłusznie wszystko, co tylko strzeliło jej do głowy. Ona zaś pozostała wierna swoim od dzieciństwa nabytym przyzwyczajeniom. Gdy przeczytałyśmy *Gwiazdę przewodnią*, zwierzyła się koleżankom w szkole, że nie jest dzieckiem swoich rodziców, że w dzieciństwie została ukradziona i porwana, że przez jakiś czas opiekowała się nią żebraczka, potem Cyganie, a ostatnio wychowują ją obcy ludzie, których tylko nazywa rodzicami. Ale na pewno przyjdzie taki dzień, w którym wykryje się jej

przypuszczalnie księżę pochodzenie. Koleżanki wysłuchiwały tego z wielkim przejęciem i aureola niezwykłości otoczyła Alinę w szkole. Gdy legendy o Alinie, podtrzymywane przez nią w coraz bardziej fantastycznych wariantach, wywędrowały z jej klasy i rozpowszechniły się po całej szkole, dotarły też i do mnie.

Z wielką satysfakcją opowiedziałam to wszystko w domu. A w domu reakcja była taka jak zawsze: Matka była urażona, a Ojciec się zaśmiewał. Bo Matka przejmowała się wszystkim i „brała to do serca”, a Ojciec w przeciwieństwie do niej obserwował nas, bawił się nami i z nami.

A Alina dalej żyła po swojemu.

Po przeczytaniu *Dziennika psotnego chłopca* szalała, wymyślając najdziwsze psoty i kawały. Nikt w domu nie był pewien, dnia ani godziny. No i wtedy pisała też dziennik, rojący się naumyślnie od błędów ortograficznych, co, z wielką satysfakcją muszę stwierdzić, zostało jej dotychczas¹.

Była też po kolei wszystkimi czterema siostrami z *Małych kobietek* Luizy Alcott. Więc najpierw próżną Małgosią, później chłopkowaną Ludką, następnie chorowitą i anielską Elizą, no i w końcu Amelką i z jej aspiracjami artystycznymi.

Podczas wakacji jako Tomek Sawyer szukała skarbów, wykopując dziury pod drzewami.

Marzyła o ucieczce z domu i przejechaniu się jak Huck Finn łódką wzdłuż Wisły z braku Missisipi.

Ale najbardziej nie udało jej się z bohaterką jednej z naszych najukochańszych książek, czyli z Anią z Zielonego Wzgórza. Mieszkaliśmy w centrum Warszawy w oficynie. Na podwórku rosło jedno wyleniałe drzewko, a naokoło były same domy, ulice, sklepy. Nie było żadnego punktu zaczepienia dla wyobraźni. Nie było strumyków, drzew, stawów, lasków, którym należałoby według Ani nadawać imiona. Nie było zagajników, które można by zaludnić duchami. Wobec tego Alinie nic innego nie pozostawało, jak wprawiać się w system gadania Ani. O ile z Ojcem przepadaliliśmy za książką i mogliśmy ciągle czytać monologi Ani Shirley, o tyle niecierpliwiło nas podrabiane gładzenie Aliny. Gdy więc tylko zaczynała, gasiliśmy jej zapal z bezwzględnym okrucieństwem i nie robiło na nas żadnego wrażenia ani: „dzikie rumaki nie wydrą z mego serca tej tajemnicy”, ani: „żelazo rozdarło moją duszę”.

¹ Przedwojenne wydanie *Dziennika psotnego chłopca* pisane było nieortograficznie. Z tego też względu książkę tę niechętnie dawano do czytania dzieciom i młodzieży.

IV. KSIĄŻKI I JA

Przed moim urodzeniem Ojciec zdecydował, że będę dziewczyną. A że był po książkach największym moim ukochaniem, więc żeby go nie rozczarować, zastosowałam się do tego życzenia.

Druga córka potrzebna była Ojcu dla uratowania gąfy z imieniem Aliny. Postanowił bowiem nazwać mnie Balladyną, czym uratowałyby koncepcję literackich imion w rodzinie.

Niestety urodziłam się różowa jak prosiak, z jasnymi brwiami i rzęsami. Rodzina ogromnie wyśmiewała się z takiej Balladyny, ale Ojciec twierdził, że ściemnieję z wiekiem. Postanowił też sam wszystkiego dokładnie przypilnować przy chrzcie.

Ale i tu szczęście mu nie sprzyjało, bo ksiądz kategorycznie odmówił nadania takiego imienia. Twierdził, że nie ma takiej świętej w kalendarzu katolickim, a dziecko katolickie musi mieć świętą patronkę. Ojciec się okropnie irytował, a wszyscy obecni zaczęli naraz gadać i dyskutować. Ojciec chrzestny poparł księdza twierdząc, że Balladyna, efektowna jest jako imię dla konia biorącego udział w wyścigach, i że to imię ładnie wyglądałoby w programach, i że sam postawiłby na takiego konia, bo w imieniu Balladyna jest charakter... Ojciec nie mógł dojść do słowa, a ksiądz zaczął się niecierpliwić. W końcu wielkim głosem zawołał:

- Więc! Jakie imię?

- Zofia! - jęknęła przerażona matka chrzestna. Usłyszawszy to ksiądz prędko polał mnie wodą święconą i ku rozpaczy Ojca przyniesiono mnie do domu jako Zofię - ni w pięć, ni w dziewięć, bo nawet bez nadziei na spadek. Matka tylko była zachwycona, że jej z kościoła dostarczono zwyczajną córeczkę Zosię, a nie jakiegoś literackiego cudaka. Nazywała mnie też zawsze Zosieńką. Czułam jednakże, że i to do mnie nie bardzo pasuje. Wołałam nazwę nadaną mi przez Ojca, który od nieudanej Balladyny nazywał mnie, Dyna. To było jakieś tylko moje imię i tym droższe, że wymyślone dla mnie właśnie przez niego. Inna rzecz, że Alina, gdy chciała mnie rozzłościć, zdrabniała to imię i wychodziła z tego: Dynia. Wiele razy w życiu stwierdzałam, że posiadanie siostry jest dopustem bożym.

Kiedy Alina miała sześć lat, a ja cztery i pół, Ojciec zaczął Alinę uczyć czytać. Choć młodsza o półtora roku, brałam w tym okresie życia udział we wszystkich zabawach siostry i wysłuchiwałam książek czytanych jej głośno przez Ojca. Gdy więc zaczęła się nauka czytania, kręciłam się koło nich bez przerwy. Ojciec dla żartu założył szkołę i żebym się podczas tych lekcji nie nudziła, zajmował się niby tak samo mną, nie biorąc mojej nauki poważnie. Toteż wielkie było zdziwienie rodziny i radość Ojca, gdy nagle okazało się, że umiem lepiej i płynniej czytać niż Alina.

Od tego czasu nastąpił w rodzinie podział: o Alinie mówiło się - ta śliczna, a o mnie - ta

mądra i wybitnie zdolna.

Ojciec swoją troskę o nasze wykształcenie ograniczył do nauki czytania. Potem przez parę jeszcze lat dziecinnych czytywał nam na głos książki, naturalnie te dla dzieci i młodzieży, które uważał, że powinniśmy jak najwcześniej poznać.

Zupełnie nie mogę wyłowić z mroku dzieciństwa wspomnienia, jakie wrażenie zrobiło na mnie *Ogniem i mieczem* i *Potop*. Musiałam być bardzo mała, gdy Ojciec czytywał to Alinie. Zawsze wydaje mi się, że znałam te książki od niemowlęctwa. Pamiętam tylko świetnie, jak mając siedem lat po raz pierwszy sama czytałam *Pana Wołodyjowskiego*, bijąc się o tę książkę i wydzierając ją sobie z Aliną, która naturalnie przez cały ten czas była hajduczikiem - Basią Jeziorkowską.

Ojciec nauczywszy nas czytać i rozmiłowawszy w książkach zostawił nam zupełnie wolną rękę w dobieraniu sobie lektury. *Miesiąc Zatajony* i *Dary Księżycowe* stały przed nami otworem i Ojciec pozwalał nam po nich buszować i czytać wszystko, na co miałyśmy ochotę.

Matka była tylko domowym Atyllą - Biczem Bożym, co jakiś czas wydzierającym nam książki i piekłącym się o to wieczne czytanie.

Więcej o sobie nie mam już co pisać, chyba to tylko muszę dodać, że byłam zawsze szczęśliwa i zadowolona ze swego losu.

Książki i Ojca kochałam po swojemu, pewnie głupio, ale serdecznie, Matkę i Alinę też. Uwielbiałam atmosferę naszego domu, która innym ludziom musiała wydawać się zwariowana, ale w której my pławiliśmy się z rozkoszą.

W wiele lat później przeczytałam w *Trzech pannach na śniegu* Ericha Kastnera piękne zdanie, napisane pewnie z myślą o nas, że „poczucie szczęśliwości nie jest wstydem - jest rzadkością”.

V. BARKIS MA ZAMIARY

- Barkis gotów! - odezwał się niespodziewanie Ojciec, odrywając oczy od *Dawida Copperfielda*, który pochyło oparty o cukiernicę zdradzał tendencję do osunięcia się w salaterkę z pierwszą wiosenną sałata.

- Kto gotów? - zapytała trochę zaskoczona Matka.

- Barkis - mruknął lakonicznie Ojciec, nie odrywając oczu od książki.

Matka, która niedawno czytała *Copperfielda*, odezwała się z pewną dozą irytacji:

- Więc zamiast Dawida, ty powiesz o tym Peggotty. Niech się pobiorą i nie ma o czym mówić.

Ale ta wiadomość nie jest ważna dla Peggotty, tylko dla ciebie.

Dla mnie?

- No, tak! Teraz właśnie stwierdziłem, że to najlepsze określenie dla wytwarzającej się sytuacji - roześmiał się Ojciec. - Zastanów się, czy to nie jest prześliczne określenie: „Barkis gotów!” albo, jeśli nie rozumiesz, to ci powiem według innego tłumaczenia *Dawida*: „Barkis ma zamiary”. Rozumiesz? „Barkis ma zamiary”, „Barkis gotów!” - powtarzał lubując się brzmieniem tych dwóch zwrotów. - Powinnaś być zadowolona.

Matka przestała jeść i nieprzytomne oczy utkwiała w Ojcu. My z Aliną też, bo nic a nic nie rozumiałyśmy, o co chodzi. Przy stole zapanowała naprężona oczekiwaniem cisza. Ojciec, który w trakcie tego wrócił najspokojniej do zupy i do dalszego czytania, wyczuł to i podnosząc głowę nad talerza i książki odezwał się głosem troszkę zniecierpliwionym:

- Co się tak na mnie patrzysz? Czy nie cieszysz się, że w twojej siostrze Mizi zakochał się chyba ten, wiesz, mój kolega, Stanisław Stolarczyk. Od czasu jak spotkał ją tu u nas, ciągle się o nią dopytuje i prowokuje mnie do zaproszenia ich razem. Rozumiesz? Chce ją znów zobaczyć. Może wykroi się z niego nowy szwagier. Cieszyłbym się, bo to porządny i zdolny chłopak.

- No pewno, że się cieszę - zawołała rozradowana Matka - ale dlaczego od razu rozsądnie nie powiedziałaś mi o tym?

- Przecież ci właśnie na początku wyjaśniłem najwyraźniej. Powiedziałem, że „Barkis gotów” i że to jest najlepsze określenie sytuacji.

- A ja cię tyle razy proszę, żebyś nie mówił do mnie po książkowemu, tylko po ludzku!

I tu niewiele brakowało, a zaczęłyby się znów jedna z wielu sprzeczek domowych na temat książek... Nie mogłyśmy do tego z Aliną dopuścić. Obydwie byłyśmy nieprzytomne z zachwytu i żadne szczegóły. Dotychczas spotykałyśmy się ze sprawami miłości tylko w książkach i bardzo nas to zagadnienie interesowało. Tomek Sawyer kochał się w Becky, robił co prawda z siebie durnia, ale, jak by nie było, kochał i cierpiał. Staś Tarkowski kochał się w Nel Rawlison. Odkrył to

w sobie dopiero w zakończeniu *W pustyni i w puszczy*, ale to nic nie znaczyło. Według nas kochał się w niej od początku do końca. A jak pięknie kochał Oleńkę Kmicic! Ale to wszystko było tylko w książkach. Jeszcze nigdy z Aliną nie zauważyliśmy, żeby taka nadzwyczajna rzecz przytrafiła się komuś z rodziny lub znajomych. Obecnie ten bodaj najważniejszy element: z literatury wkraczał przed naszymi zaciekawionymi oczami w prawdziwe życie.

- I jak to, Tatusiu, jest? Jak to było? Jak się to stało? - zaczęła dopytywać się Alina jednym tchem.

Ale Matka, która wzięła sobie za jedno z zadań życiowych zatruwać nam każdą ciekawszą chwilę, kazała nam iść do naszego pokoju i odrabiać lekcje. Powiedziane to było stanowczo i wiedzieliśmy, że żadnej apelacji od tego zarządzenia nie ma. Nawet do Ojca nie było po co w takich wypadkach zwracać się o ratunek. Gdy Matka mówiła takim głosem, można było najwyżej warknąć pod nosem tonem pełnym wyrzutu:

- Skończyła się szkoła pod pierogiem, zaczęła się pod batogiem!

Kiedyś, gdy byliśmy małe, ta parafraza z *Pimpusia Sadelko* Marii Konopnickiej „chwyciła”, czyli rozśmieszyła Matkę i jak stwierdziłyśmy, „polepszyła ją”. Ale za często używana, straciła na wartości i najmniejszego już nie robiła wrażenia.

Trzeba więc było ulec przemocy i ocalić choć dumę. Wściekłe, ale z podniesionymi głowami, wymaszerowałyśmy do naszego pokoju, w którym, naturalnie, ani myślałyśmy zabrać się do lekcji. Za bardzo byłyśmy zaaferowane, jak to właściwie naprawdę jest z tą miłością... A rodzice tam sobie o tym rozmawiają... Naturalnie, jak się dzieje coś ciekawego, to Matka każe nam odrabiać lekcje.

Czułyśmy się straszliwie pokrzywdzone.

W końcu ja wpadłam na pomysł, że trzeba znów przeczytać *Dawida Copperfielda*. Przecież sam Ojciec powiedział, że „Barkis gotów” jest najlepszym określeniem sytuacji.

Dotychczas uważałyśmy z Aliną, że *Dawid* jest okropnie nudną książką i raz ją kiedyś przeczytawszy, nigdy nie miałyśmy ochoty do niej powracać. Teraz Alina stwierdziła, że mam rację i że tam na pewno znajdziemy jakieś bliższe wskazówki, jak to ma być z cicią Mizią i panem Stolarczykiem, że więc trzeba będzie jeszcze raz przeczytać *Dawida*, i to bardzo uważnie.

- Zaraz jak Ojciec skończy, wezmę do czytania i wykryję - zakończyła Alina.

- Nie ty przeczytasz, jak Ojciec skończy, tylko ja - wrzasnęłam - to mój pomysł, żeby tam szukać wiadomości.

- Ja skończyłam już dwanaście lat. Mam trzynasty. A ty jesteś jeszcze dziecko - odpowiedziała z ważną miną Alina.

No i od słowa do słowa o mało nie pobiłyśmy się.

Alina zawsze była ohydłą egoistką. Zawsze chciała mieć wszystko lepsze niż ja i wcześniej

niż ja. A ponieważ była i starsza, i silniejsza, zwykle więc na swoim postawiła. Gnębiona przez egoizm Aliny wyrobiłam w sobie przebiegłość węża i zaradność dzikiego indiańskiego wojownika.

- Dobrze! - powiedziałam, ponieważ nagle przyszedł mi genialny pomysł do głowy. - Dobrze! Gdy Ojciec skończy *Dawida*, ty weźmiesz go do czytania. Howgh! Powiedziałam! Ale wiedz, że topór wojenny został przeze mnie wykopany i biada bladej twarzy!

Termin ten był umowny. Taki między nami panował zwyczaj, że po wykopaniu topora wojennego byliśmy z sobą nie w wojnie, lecz na odwrót, nie istniałyśmy dla siebie przez parę dni i nie odzywałyśmy się do siebie.

Mając zabezpieczone tyły, rzuciłam się do wykonania mego genialnego pomysłu. Nałożyłam beret i płaszcz. Oznajmiłam Matce, że nie wiem, co zadane z polskiego, i muszę skoczyć do Reni dowiedzieć się. Ponieważ to było niedaleko, więc pozwolenie od zagadanej z Ojcem Matki łatwo otrzymałam. Po piętnastu minutach wróciłam zziębnięta do domu, taszcząc pod płaszczem pożyczonego *Dawida Copperfielda*, bo przecież tylko po to poleciałam, przypomniawszy sobie, że Renia posiada tę książkę.

Po odrobieniu lekcji, z którymi uwinęłam się w tempie huraganowym, zasiadłam sobie z drwiącą miną i triumfująco zabrałam się do czytania. Alina szalała ze złości i z zazdrości, bo miała przed sobą perspektywę czekania najmniej ze dwa tygodnie. Przy Ojca systemie czytania paru książek na raz trzeba było czasem długo czekać, ażeby któraś z książek została wycofana z jego stolika.

Tak więc pokonana przez Alinę - pokonałam ją jednak z kolei.

Inna rzecz, że na drugi dzień Alina poszła prosto ze szkoły do którejś ze swoich koleżanek i też przyniosła z sobą *Dawida Copperfielda*. No i natychmiast po odrobieniu lekcji rzuciła się do czytania, żeby mnie dogonić i przegonić.

Podsumowując sytuację stwierdzam, że w te dni znajdowało się w naszym domu aż trzech *Dawidów*. I że w walce o zdobycie książki i podczas wyścigów, która prędzej przeczyta, znikł nam przed oczu cel, jaki przyświecał przy zdobywaniu tych książek. Zagadnienie: ciocia Mizia i pan Stanisław Stolarczyk jakoś przestało mieć dla nas zakazany urok.

Po przeczytaniu jeszcze raz *Dawida* zakopałyśmy topór wojenny i stwierdziłyśmy, że Barkis i Peggotty nie pomogli nam nic do zrozumienia miłości w życiu. Postanowiłyśmy więc obserwować dorosłych. Ale to też okazało się bardzo nudne. Ojciec, jak się nam zdawało, poświęcił się dla dobra rodziny i na tę wiosnę i lato wypadł z czytaniowego transu. Odbył się u nas brydż i przyjęcie. Do spisku zostali wciągnięci wujostwo Lewińscy, którzy, jak podsłuchałam, „brali udział w nagonce”. Ciągle też wtedy bywały u nas ciocia Mizia i ciocia Lusja, dwie najmłodsze siostry Matki, właściwie bliższe wiekiem nam niż Matce. Ojciec sprowadzał z biura całe gromady kolegów. Między nimi był też naturalnie zawsze pan Stolarczyk. Przyjrzałyśmy mu się dokładnie i

stwierdziłyśmy, że jest okropny. Po pierwsze, był bardzo stary, bo miał chyba ze dwadzieścia sześć lat. Po drugie, nudny. Poza pracą w skarbowości kończył prawo na uniwersytecie, a bywając u nas godzinami z wujkiem Lewińskim, który pracował w ministerstwie, z Ojcem i cicią Lusią prowadzili rozmowy o podatkach, o instrukcjach, o zarządzeniach i o tym podobnie nudnych rzeczach. Ciozia Mizia, którą serdecznie kochałyśmy, była w tym okresie jakaś niewyraźna. Od nas stroniła i nie bawiła się z nami tak jak dawniej. Ale niezbitcie stwierdziłyśmy, że podczas gdy pan Stolarczyk z zapalem dyskutował, ona nudziła się rozpaczliwie i aż łzy jej stawały w oczach od tłumionego ziewania.

Wuj Lewiński, radca w ministerstwie skarbu, a więc wskutek tego głowa naszej skarbowej rodziny, bo i obydwie ciotki pracowały w skarbowości, bardzo sobie upodobał pana Stolarczyka i pomysł Ojca zaaprobował.

- Ten chłopak pnie się! - orzekł kiedyś z powagą, gdy byliśmy tylko w gronie rodzinnym. - Zajmie wysoki szczebel w karierze urzędniczej - dodał po krótkiej chwili namysłu.

Odtąd wyobrażałyśmy sobie pana Stolarczyka jako kota, który idzie po szczeblach drabiny. Drabina wyobrażała urzędy skarbowe, izbę skarbową i ministerstwo skarbu. Na szczycie tej drabiny siedziała coraz bardziej osowiała ciotka Mizia. Alina nawet zrobiła taki rysunek, ale Ojciec ją zwymyślał i kazał to arcydzieło zniszczyć.

Jakoś w czerwcu uspokoiło się u nas, a cały ten rodzinny gwałt przeniósł się do wujostwa Lewińskich, gdzie nagle wszyscy zaczęli „bywać”. Ale ponieważ ani Alina, ani ja nie byłyśmy do tego rwetesu dopuszczone, więc co się dalej działo, trudno nam było zaobserwować.

Bez wyjątkowych kłopotów w tym roku zakończyła się szkoła i Alina na samych trójczynach, a ja na trójkach z przedmiotów, których nie lubiłam, i na piątkach z przedmiotów, które lubiłam, przeszłyśmy do następnej klasy.

Rozczarowanie i rozpacz ogarnęły nas na wiadomość, że w tym roku nie wyjedziemy w żadne ciekawe i interesujące miejsce na wakacje. Okazało się, że Ojciec wynajął pokój w jakimś obskurnym domku na pograniczu Świdra i Otwocka. Od razu było rzeczą jasną, że decyzja ta powstała w związku z aferą: ciocia Mizia i pan Stolarczyk. Poza tym usłyszałyśmy, jak Matka mówiła do Ojca:

- Będą do nas przyjeżdżać na każdą niedzielę. Na wsi jest swobodniej. Może tam bardziej sobie przy padną do serca.

W tym momencie Alina wciągnęła mnie za rękaw do naszego pokoju i zaczęła trajkotać.

- Słuchaj! Mam cudowny pomysł! W Świdrze Mizia też nie będzie miała swobody do rozmawiania z tym „pnącym się” Stolarczykiem. Słuchaj! Ty i ja zamienimy się podczas tych wakacji w dwóch psotnych Jurków. Będziemy im ciągle przeszkadzać i robić kawały. Zaraz bierzemy się do czytania *Dziennika psotnego chłopca*. Pamiętasz? On miał trzy siostry i one przez

niego wcale nie mogły wyjść za mąż. Tam był z punktu widzenia sportowego stosunek: jeden Jurek na trzy siostry, nam pójdzie łatwiej, bo nas jest dwie na jedną Mizię. Wszystko musimy sobie przemyśleć i przyszykować. Słuchaj! To będą piękne wakacje! Będziemy im ciągle przeszkadzać i zobaczysz jaka będzie zabawa.

Porwana genialną ideą Aliny przyrzekłam jej wszelką pomoc, wyjątkowo więc zgodnie szykowaaliśmy się do wyjazdu. Naturalnie poza *Dziennikiem psotnego chłopca* zabrałyśmy całą pakę innych książek. Alina miała już opracowany dokładnie plan psot i kawałów, które miałyśmy wypróbować na panu Stolarczyku. Toteż po przyjeździe na miejsce mogłyśmy swobodnie oddać się czytaniu innych książek.

Ja trafiłam na Curwooda i zaczytywałam się *Szarą wilczycą* i *Barim*. Alina wróciła do Sienkiewicza i czytała go od początku. Matka liczyła dni do przyjazdu Ojca i tak spokojnie i bardzo jednostajnie żyłyśmy sobie na tych wakacjach.

Kiedyś w środę zupełnie niespodzianie wpadł Ojciec oznajmiając, że na sobotę i niedzielę rodzina i przyjaciele umyślili zrobić najazd na nasze letnisko i że trzeba przyszykować i spanie, i jedzenie dla około ośmiu osób. Matka dostała wypieków, ale bohatercko stanęła do roboty, żeby wszystko dobrze zorganizować. Poza tym Ojciec zarządził, że Alina ma pojechać w sobotę raniutko do Warszawy do ciotki Lewińskiej i przywieźć od niej masę różnych przysmaków koniecznych do uświetnienia tego skarbowego weekendu. Ciotka bowiem zdecydowała spotkać się na dworcu z wszystkimi, którzy będą jechać do nas prosto z biur. O tej porze jest tłok, zwłaszcza w kolejkach podmiejskich, ciotka więc nie chce mieć z sobą ciężkich paczek. No, i te wszystkie rzeczy powinny być już na stole, gdy oni przybędą.

- Czy ciotka Mizia i pan Stolarczyk też przyjadą? - zapytałam z zapartym oddechem.

- Naturalnie - odpowiedział Ojciec.

Trąciłam łokciem Alinę spoglądając na nią porozumiewawczo, ale ona melancholijnie gapiała się na sosny za oknem.

- Alina! W sobotę zaczynamy!

Alina wzruszyła tylko ramionami i nic nie odpowiedziała.

Byłam bardzo rozczarowana, bo nie mogłam nic z niej wydębić na temat realizacji naszych wspaniałych pomysłów wcielenia się w psotnych Jurków. Alina była chyba chora. Ani z Matką, ani ze mną nie rozmawiała. Spacerowała koło domu, wzdychała i gapiała się na sosny. Zostawiłam ją więc w spokoju, a sama żyłam cudowną kanadyjską przyrodą Curwooda i zwierzakami tak prześlicznie przez niego opisywanymi. Książki Curwooda tak mnie pasjonowały, że właściwie znikła mi z oczu Alina i jej jakieś dziwne nastroje. Wyłoniła się dopiero przed moimi nieprzytomnymi od czytania oczami w piątek wieczorem w sposób dość nieoczekiwany. Po kolacji ustawiła lustro na stole, rozpuściła włosy i zabrała się do szczotkowania ich, co jej się nigdy

dotychczas nie zdarzało. Równocześnie gapiała się na swoje odbicie w lustrze i sama do siebie robiła przedziwne miny, ale wszystkie na smętno i melancholijnie. Widząc ją tak krygującą się przed lustrem zaczęłam intensywnie rozmyślać, co by tu okolicznościowego pasowało do sytuacji i aż pisnęłam z radości, gdy znalazłam:

- Już tę brew to chyba waćpanna korkiem przypalonym malujesz - powiedziałam.

Zamiast mi odpowiedzieć: - Słyszałam, że tak płoche czynią, ale jam nie taka - spojrzała na mnie z pogardą spod rozpuszczonych włosów i pokazała język. Obraziło to mnie straszliwie, wróciłam więc do czytania.

- Czyś ty zwariowała? - usłyszałam nagle głos Matki.

Podniosłam głowę i zobaczyłam, że Alina połowę włosów miała mokrych, a druga połowa skręcona była w fantastycznie powykręcane papiloty.

- Mamusiu, przecież jutro będą goście... Więc chyba to nic złego, jeśli chcę ładnie wyglądać - odpowiedziała Alina jakimś dziwnie do swego niepodobnym, bo o łagodnych tonach głosem.

- Naturalnie, córeczko! - odpowiedziała Matka całując ją w czoło. - Bardzo się cieszę, że już zaczniesz dbać o siebie i że nie czytasz tak ciągle nieprzytomnie jak niektóre osoby.

- Tak, Mamusiu! - odpowiedziała miękko Alina.

Poczułam się w tym towarzystwie jedyną „niektórą osobą” nieprzytomnie czytającą. Cóż miałam na to poradzić? Tym bardziej że coś mi się w tej zmianie Aliny wydało dziwne i fałszywe. Nie wiedziałam jeszcze wtedy, co to było, ale byłam pewna, że coś w tym tkwi.

A na drugi dzień rano okazało się, że Alina jest chora. Jęczała w łóżku i stękała. Trzymała się za głowę i za serce. Za brzuch nie trzymała się tylko dlatego, że to było za mało poetyczne miejsce choroby w jej obecnym nastroju.

Matka od wczorajszego wieczoru usposobiona do Aliny serdecznie i łagodnie bardzo się jej stanem zmartwiła. Ja jednak wiedziałam, że jej nic nie jest. Byłam pewna, że udaje chorobę, żeby nie jechać do Warszawy i żeby te swoje głupie papiloty (co jej strzeliło z nimi do głowy, jeszcze nie wiedziałam) nosić do przyjazdu gości.

W chytrości swego ducha zrobiłam następujący obrachunek. Jeśli i ja znajdę sobie powód, żeby nie jechać do Warszawy, to i tak dziury w niebie nie będzie, bo te pyszności ciotka Lewińska, aczkolwiek niezadowolona, przytaszczy sama. No ale w tym wypadku Alina korzystając z pobłażliwego dla niej nastroju Matki będzie się wałkonila w łóżku do południa i będzie sobie czytała, a ja ganiana do najczarniejszych robót zamienię się w Kopciuszka mającego złą siostrę. Bardzo mi to nie odpowiadało, bo wyglądało na to, że całe przedpołudnie diabli wezmą i nic nie poczytam. A właśnie zaczęłam *Włóczęgów Pólnocy* Curwooda.

To już lepiej jechać do Warszawy - zdecydowałam - i spędzić całe przedpołudnie na czytaniu w pociągach i tramwajach.

Wesoła jak letni poranek i radosna dzięki wykręceniu się od obowiązków, podskakując zdążyłam przez rzadkie laski i gęste piaski Świdra do stacji. Z daleka zobaczyłam pociąg, toteż zwolniłam kroku, ażeby na niego nie zdążyć i jeszcze sobie trochę poczytać na stacji. Stało się, jak przewidywałam. Więc też sobie czytałam spokojnie godzinkę, czekając na następny pociąg. Potem sobie czytałam w pociągu. Potem sobie czytałam w tramwaju. I wszystko było pięknie, tak jak sobie ułożyłam. Dopiero ciotka mnie zezłościła, bo zaczęła jęczeć, że przyjechałam bardzo późno, i miała trochę racji - dochodziła już godzina jedenasta. Okropnie gderała, że muszę się teraz bardzo śpieszyć, żeby Matka zdążyła wszystko przygotować. Że muszę uważać w drodze, żebym nie pogubiła paczek, żebym je w drodze liczyła, bo jestem postrzelona i nieuważna, i tak dalej, i tak dalej... No i obładowała mnie jak dromadera.

- Dobrze, ciociu! - zawołałam i biegiem wyskoczyłam z jej mieszkania, bo gadałaby tak do godziny pierwszej, i musiałabym jechać z nimi wszystkimi, i nic już nie byłoby z czytania.

A byłam w bardzo ciekawym miejscu, bo właśnie w tramwaju Miki zabił potwornego Jacka Le Beau, przegryzając mu gardło. Konałam z ciekawości, co się stanie z Nanettą i czy Miki spotka się jeszcze ze swoim przyjacielem, niedźwiadkiem Niua. Toteż ogromnie się zdenerwowałam przepelnionym tramwajem, paczki w dodatku były ciężkie i ani mowy o otwarciu książki. Chciałam chociaż zerknąć jednym okiem i sprawdzić, co dalej, ale resztki rozsądku zwyciężyły i męczyłam się całą drogę do dworca pocieszając się, że w pociągu odbiję sobie tę krzywdę. Toteż jak nieprzytomna przeleciałam koło biletera, wpadłam na peron i wsiadłam do pociągu, na szczęście prawie pustego. Paczki policzyłam, jak ciotka kazała, i umieściłam na półce. No i nareszcie byłam wolna. Rzuciłam się do książki.

Pociąg ruszył i sobie jechał, a ja znowu sobie czytałam.

W książce zaczęło się wszystko wyglądać. Właścicielem Miki był już Challoner. Miki pod jego opieką odżył. Nanetta pokochała Challonera. Jeszcze brakowało mi do kompletnego szczęścia niedźwiadka Niuy, gdy pociąg zatrzymał się i usłyszałam:

- Mińsk Mazowiecki!!! Wysiadać!!

Co? Mińsk?! Dlaczego Mińsk?! Przecież ja jadę do Świdra!

Ale niestety był to Mińsk. Wsiadłam widocznie w jakiś inny pociąg.

Policzyłam paczki, jak ciotka kazała, i obładowana nimi wysiadłam. Z konduktorem i kontrolerem miałam straszną przeprawę, bo chcieli, żebym zapłaciła za bilet z Warszawy do Mińska, i to jeszcze z karą. Ale że nie miałam przy sobie pieniędzy, więc w końcu machnęli na mnie ręką i oświadczyli, że pociąg do Warszawy będzie dopiero przed drugą i że muszę kupić bilet. W tym miejscu o mało się nie rozpłakałam, toteż poczciwi kolejarze machnęli po raz drugi ręką i postanowili oddać mnie pod opiekę konduktorowi i pociągu warszawskiego, żebym znowu nie pojechała w innym kierunku.

Na stacji w Mińsku skończyłam książkę i zaczęłam się przeraźliwie nudzić. Poza tym byłam okropnie już głodna. No ale przypomniały mi się paczki ciotki Lewińskiej i tej biedzie trochę zaradziłam.

Nawet muszę przyznać, że podjadłam sobie nieźle i „wykwintnie”, według ukochanego słowa ciotki. Przed trzecią byłam w Warszawie, a że musiałam czekać na pociąg do Otwocka, dopiero około piątej dowlokłam się do domu, znużona i znużona straszliwie.

Matka najpierw się ucieszyła, że się znalazłam żywa i cała, a potem bardzo się na mnie gniewała. Ciotka gniewała się od pierwszej chwili, a zaczęła się wprost wściekać, gdy się okazało, że podkarmiłam się z jej paczek.

Całe towarzystwo było na spacerze. Tylko Ojciec zaraz po moim przyjściu wrócił do domu, bo był o mnie niespokojny. Gdy wyliczono mu całą listę moich przestępstw, roześmiał się i powiedział:

- To szczęśliwie, że dziecko miało tylko takie przygody. I to rozsądnie, że karmiło się w swoich podróżach po Polsce tym, co miało przy sobie. Czy chciałbyście, żeby cały dzień była głodna? Trzeba brać rzeczy od najlepszej strony! Chodź, córeczko, na spotkanie gości - zakończył zabierając mnie od nastroszonej ciotki i Matki.

Byłam uszczęśliwiona takim zakończeniem dnia, który, zacząwszy się pięknie, od połowy stał się dla mnie tak bardzo uciążliwy.

Idąc przez las w kierunku rzeki trzymaliśmy się z Ojcem za ręce i chociaż nie mówiliśmy do siebie, było nam bardzo dobrze, szczęśliwie i miło. Nad rzeką spostrzegliśmy nasze towarzystwo, które właśnie wyłoniło się z lasu i widząc Ojca podążało w naszym kierunku. Musiałam dać ujście memu zachwytowi dla tego cudownego spaceru z Ojcem, a że nie umiałam rozmawiać, ścisnęłam Ojca porozumiewawczo za rękę i pokazując mu naszą gromadkę zaczęłam deklamować cichym głosem:

Właśnie z lasu wracało towarzystwo całe,

Wesoło, lecz w porządku; naprzód dzieci małe

Z dozorcą, potem Sędzia szedł z Podkamorzyną,

Obok pan Podkomorzy otoczony rodziną;

Panny tuż za starszymi, a młodzież na boku:

Panny szły przed młodzieżą o jakie pół kroku

Tak każe przyzwoitość

poważnym głosem dodał Ojciec, odpowiadając mi również porozumiewawczym uściskiem ręki.

Nikt tam nie rozprawiał

o porządku, nikt mężczyzn i dam nie ustawiał

ciągnęłam dalej podskakując z zachwytu, że nam się tak pięknie deklamuje.

A każdy mimowolnie porządku pilnował

Bo Sędzia w domu dawne obyczaje chował

dodał Ojciec podnosząc w górę palec.

I nigdy nie dozwalał, by chybiono względu

Dla wieku, urodzenia, rozumu, urzędu

wołałam przyśpieszając tempo, bo niestety towarzystwo zbliżało się już do nas.

Ale nasze towarzystwo, aczkolwiek wesołe, nie zbliżało się w porządku podobnym do mickiewiczowskiego. Chociaż wuj Lewiński przypominał nawet trochę Podkomorzego. Perorował naturalnie o ministerstwie, a dwóch Ojca kolegów i ciocia Lusia z nabożeństwem tego słuchali. Trochę za nimi szedł pan Stolarczyk z ciocią Mizią, a między nimi kroczyła z poważną miną Alina w białej sukience i lokach, i wystrojona na sztucznego aniołka. Zamiast ciocię Mizię trzymała pana Stolarczyka za rękę i ciągle coś do niego mówiła z powagą, a on odpowiadał jej z rozbawioną miną. Chciałam ją odciągnąć, żeby opowiedzieć o moich przygodach, ale wcale nie chciała do mnie podejść, więc powlokłam się za wszystkimi w kierunku domu.

Przez całą niedzielę Alina nie odstępowała pana Stolarczyka. Nie mogłam tego zupełnie zrozumieć. To, że przeszkadzała mu rozmawiać z ciocią Mizią - to było jak przewidziałyśmy, ale nie wzywała mnie do pomocy, nie robiła kawałów, nie ośmieszała go i nie była, tak jak zamierzała, psotnym Jurkiem. Wprost przeciwnie. Prawie ciągle trzymała go za rękę, przewracała oczami i w ogóle zachowywała się skandalicznie i irytująco. Zgniewało to nawet Ojca. Słyszałam, jak po powrocie z plaży i po kąpieli w rzece (Alina nie kąpała się, żeby nie zmoczyć swoich głupich loków), wpadł do Matki, gdy nakrywała do obiadu, i zawołał:

- Dlaczego Alina pęta się ciągle przy dorosłych i dlaczego przeszkadza nam i Mizi?
Uczepiła się Stolarczyka i nie odstępuje go na krok!

Matka wzruszyła ramionami poprawiając na stole kwiaty i nakrycia.

- Poślij ją po obiedzie do jakichś dzieci w sąsiedztwie, do jakichś koleżanek. Dzieci niech się bawią z dziećmi, a nie przeszkadzają starszym - dodał.

Matka spojrzała na niego z irytacją.

- Czy ty dotychczas nie zauważyłeś, że twoje córki nigdy nie bawią się z dziećmi i nigdy nie bawią się jak dzieci?... Przecież zawsze tylko czytają książki...

- To daj Alinie jakąś książkę, byleby nam nie przeszkadzała - zawołał Ojciec. Ale Matka była już w kuchni.

Przez resztę dnia Alina albo udawała, że nie widzi dyplomatycznych posunięć Ojca w kierunku wyeliminowania jej z towarzystwa dorosłych, albo zgoła je ignorowała. A przy tylu obecnych nie wypadało Ojcu po prostu wyrzucić jej za drzwi, jak zrobiłby na pewno, gdybyśmy

byli sami. Toteż niańczyła pana Stolarczyka do wieczora nie dając do niego dostępu nikomu i doholowała go aż do kolejki ciągle trzymając za rękę. Ciotka Lewińska kipiała ze złości. Wuj też nie miał zbyt zadowolonej miny.

Gdy powstał zamęt podczas pożegnań, usłyszałam, jak Alina, idiotycznie przechyliwszy głowę, mówiła do Stolarczyka:

- Pan Stach przyjedzie na przyszłą niedzielę! Prawda, że przyjedzie!

- Przyjedzie, kotku, przyjedzie... - odpowiedział zdawkowo odwracając się od niej, ażeby pomóc ciotce Lewińskiej wdrapać się na wysokie stopnie wagonu.

Ojciec odjechał razem ze wszystkimi. Obiecał mi przywieźć w przyszłą sobotę jeszcze trochę „Curwoodów” i mapę Ameryki Północnej.

Ten tydzień do soboty nie zapowiadał się interesująco. Nie miałam ochoty na żadną z posiadanych na lotnisku książek. Na nowe „Curwoody” trzeba było czekać. Alina w dalszym ciągu udawała, że jest chora. Zaczynałam się nudzić. W końcu już tylko z nudów i poczucia obowiązku postanowiłam przeczytać te książki Sienkiewicza, których jeszcze nie znałam.

Selim Mirza znudził mnie bardzo. Jeszcze mniej podobało mi się *Na polu chwały*. Wreszcie pod koniec tygodnia zabrałam się do *Bez dogmatu*. Przedzierałam się strona za stroną i nic nie rozumiałam, o co chodzi. Książki dlatego nie rzucałam, bo ciągle miałam nadzieję, że dalej się rozkręci i zacznie się dziać coś miłego lub zabawnego. Ale ciągle nic się nie działo albo prawie nic.

W piątek Alina znowu nakręciła całą głowę papilotów. A w sobotę przysłała od Ojca pocztówka, że tym razem na niedzielę nie przyjadą. Ministerstwo urządzało trzydniową wycieczkę do Gdyni i cała nasza skarbowa rodzina wraz z Ojcem brała w niej udział.

Wszystkie trzy byliśmy bardzo zawiedzione. Matka, że w niedzielę nie będzie u nas Ojca, Alina pewnie, że niepotrzebnie męczyła się w nocy z papilotami, ja, że nie otrzymałam obiecanych „Curwoodów” i że jestem na łasce tych nieciekawych książek Sienkiewicza.

We wtorek zmęczyłam wreszcie *Bez dogmatu* i zupełnie bez entuzjazmu zabrałam się do *Rodziny Połanieckich*.

I tu zaczęła się dla mnie zupełnie nieoczekiwana uciecha.

To że książka była prześliczna, że papa Pławicki był uroczy, że ciocia Broniczowa była żoną ostatniego z Rurykowiczów, nie licząc innych wdzięków tej książki - to była jedna strona mojej uciechy. Ale ważniejszą sprawą było to, że znalazłam wreszcie klucz do idiotycznego zachowania się Aliny. Po prostu swoim zwyczajem obecnie była Litką, chorowała na serce i kochała się w panu Stachu - pierwszym, którego znalazła pod ręką.

Ojciec aż płakał z uciechy, gdy w nagrodę za przywiezione mi całe naręcz „Curwoodów” i mapę Kanady odkryłam mu tajemnicę Aliny.

VI. TRĘDOWATA PO RAZ PIERWSZY

Gdy miałam dwanaście lat, Matka stłukła lusterko. Zaczął się więc programowo feralny okres.

Ojciec zażyrował weksle jakiemuś koledze od serca, a temu koledze coś się stało i jak słyszałyśmy z Aliną; „weszli Ojcu na pobory”. Gdy Matka zaczęła jęczeć pierwszego, że z tych pieniędzy nie utrzyma domu, Ojciec zastrzelił ją mówiąc:

- A po co stłukłaś lusterko? - Przerzuciwszy w ten sposób odpowiedzialność za to, co się stało, na Matkę, nurknął w pierwszy tom *Pana Wołodyjowskiego*, do beztroskiej atmosfery dworku Ketlingowego. Biedna Matka borykała się i oszczędzała, jak mogła. Jako żona urzędnika państwowego miała do tego zaprawę sportową. Ale i to nie na wiele się przydało. Trzeba było jakoś radykalnie zaradzić. No i Matka zaradziła.

Mieszkanie nasze składało się z dwóch niewielkich pokoików, z których jeden zajmowali rodzice, drugi Alina ze mną. Do tego mieszkania doczepiona była ogromna kuchnia, której prawie nie używaliśmy. Otóż Matka zainstalowała w przedpokoju małe przepierzenie, a w nim maszynkę gazową. Kuchnię zaś wynajęła bardzo porządnemu samotnemu szewcowi. Ten sprowadził się zaraz z żoną, trojgiem dzieci i dwoma szwagrami. I naturalnie lokatorzy nie płacili i awanturowali się dniami i nocami. Biedna Matka stawiała im mężnie czoło i wojowała z nimi tak dzielnie, że nie tylko ich sądownie w cztery miesiące wyeksmitowała ze zwrotem pieniędzy za przemieszany okres, ale jeszcze w kółku rodzinnym zdobyła nowy tytuł „Kobieta bohater - Emilia Plater”, który ją przez parę lat prześladował.

W tym czasie Ojciec czytał *Szwejka*, a na skargi Matki najpierw wypominał jej lusterko, a potem pocieszał oczywiście cytata:

- „Nigdy Pan Bóg nie dopuści takiego złego, żeby nie mógł dopuścić jeszcze gorszego”.

I tak pocieszona Matka rzucała się w wir walki o nasz dach nad głową i o wyżywienie nas od pierwszego do pierwszego.

Po wyrzuceniu szewców Matka pomimo lęku całej rodziny przed następnym doświadczeniem wynajęła znów kuchnię, ale tym razem samotnej kobiecie. Była to młoda, dwudziestodwuletnia krawcowa, Stefcia Wiszkówna. Choć z zupełnie odrębnego środowiska, nieoczytana i kompletnie bez wykształcenia, była miła, subtelna i znała się na żartach. Bardzo prędko byłyśmy z nią po imieniu pomimo różnicy wieku.

Wydawało się więc, że wyczerpały się skutki fatalnego lusterka. A tu nagle okazało się, że Alina gorączkuje i grozi jej gruźlica. Przytrafiło się to wszystko podczas wstrętnej, rozpadanej i wyjątkowo wilgotnej jesieni. Puchłam z zazdrości, gdy wyrzucono mnie z naszego pokoju na niewygodną kozetkę do pokoju rodziców, która tak stała, że ani żadnej lampki nie można było do

niej dociągnąć, ani czytać przy górnym świetle. Było mi ogromnie niewygodnie. A w naszym dotychczas wspólnym pokoju panoszyła się Alina, koło której zaczęli wszyscy skakać, bo nawet Ojciec cisnął książki. Mnie gnali do szkoły w największe pluchy, a Alina wylegiwała się w łóżku i miała tyle czasu na czytanie. Skończyło się na tym, że Ojciec wycygał gdzieś zapomogę i pożyczkę, którą jemu z kolei żyrował jakiś inny kolega od serca, i wysłał Matkę z Aliną do Zakopanego.

Odetchnąłam, bo po pierwsze wróciłam do naszego pokoju, który był teraz wyłącznie moim pokojem, a po drugie dlatego, że wraz z wyjazdem Matki nikt mnie nie pilnował przy odrabianiu lekcji i nie jęczał mi nad głową, żebym ciągle nie czytała.

To były piękne cztery miesiące!

Wracałam ze szkoły, zjadałam obiad upitraszony przez Stefę i teraz ja czytałam... czytałam... Ojciec też czytał. I była piękna cisza w naszych pokoikach, bo nie przeszkadzaliśmy sobie wcale. Zresztą w tym okresie gusty nasze były zupełnie rozbieżne.

Ojciec odkrył P. G. Wodehouse'a i czytał *Grube pieniądze*, *Uciśnioną dziewczę*, *Ptaszka z Piccadilly* i każdą książkę tego autora, jakiej dopadł, porykując sobie na głos w co weselszych momentach. Ja w tym okresie byłam wyższa ponad taką lekturę i patrzyłam na Wodehouse'a z pogardą. Siedziałam bowiem zaczytana po uszy w Żeromskim i kochałam się w Przełęckim i Nienaskim. W szkole obrywałam dwóję za dwóję.

I tak upłynął koniec zimy. Zbliżała się Wielkanoc i spodziewałam się dwóch dwójek na pewno, a drugich dwóch trochę. Według mnie był to dalszy ciąg fatalnych skutków stłuczonego lusterka.

Ale w innych sprawach odmieniło się, bo ten Ojca przyjaciel, przez którego „Ojcu weszli na pobory”, wypłynął z kłopotów i oddał okropną furę forsy. Więc Ojciec spłacił pożyczkę i z wrodzoną lekkością charakteru postanowił:

- Jak hulać, to hulać!

To hulanie wyglądało tak, że ja zostałam wyekspediowana do Zakopanego na trzy tygodnie, a Ojciec miał przyjechać do nas na dziesięć dni.

Stefa przyszykowała mi wszystko na drogę. Ojciec kupił bilet i zawiadomił Matkę, którym pociągiem przyjadę. Dla mnie pozostała najważniejsza i najcięższa część przed wyjazdowych kłopotów, czyli zdecydowanie się na lekturę do pociągu. Miałam pod tym względem smutne już doświadczenie, bo raz jadąc pod Częstochowę do dziadków wzięłam taką książkę, która - jak się to mówi - nie chwyciła i całą drogę nudziłam się jak mops.

Jakoś do ostatniej chwili nic mogłam się zdecydować, co zabrać, i ciągle to wyjmowałam książki z szafki, to wkładałam, to znów wyjmowałam inne. I w tym momencie wpadłam na dobry pomysł, żeby pożyczyć *Trędowatą* od Stefy. Była to jej jedyna książka poza książeczką do

nabożeństwa.

Trędowatej jakoś dotychczas nie czytałyśmy. Pewnie dlatego, że Ojcu się nie podobała, bo ani nie kupił jej, ani nie przynosił z wypożyczalni. Ze słyszenia znałam ją, bo albo ktoś ją strasznie krytykował i ogromnie się z niej wyśmiewał, albo, dla odmiany, ktoś inny aż piał z zachwytu. A że i na temat Sienkiewicza czy Żeromskiego zdarzały się ogniste dyskusje, uznałam, że akurat jest pora, ażeby wyrobić sobie odpowiednie i własne zdanie.

Toteż natychmiast gdy pociąg ruszył i zniknął mi z oczu Ojciec powiewający wielką płachtą chustki do nosa - pożegnania na peronach lubił odgrywać ostentacyjnie - zabrałam się do czytania. W przedziale jechał jakiś ksiądz, pani z dziewczynką w moim wieku i jeszcze parę osób. Zresztą szybko cały przedział i pociąg, i podróż, i wszystko, co się mnie tyczyło, znikło mi przed oczu wobec czarownej historii Stefcii Rudeckiej, która zaczęła się przede mną rozgrywać na kartach czytanej książki. A więc dwór w Słodkowcach i dumna, arystokratyczna rodzina Michorowskich, i na ich tle subtelna, piękna nauczycielka. Następnie ordynat Michorowski, z początku zimny, sceptyczny, ulegający wreszcie czarom pełnej wdzięku nauczycielki. No i bale, kawalkady na koniach, wyścigi, a w nich pierwszy naturalnie zawsze on - Waldemar. I bal kostiumowy. I Stefcia w stroju z Dyrektoriatu. (Nie miałam pojęcia, co znaczy ten Dyrektoriat, ale potrafiłam sobie wyobrazić, że to musiało być cudowne). I portrety antenatów, i senatorów, które mówiły groźnie do Stefcii, prostej szlachcianki: „Cóż tu robisz pomiędzy nami, karmazynami?”

Z wypiekami na twarzy gnałam przez książkę bez tchu z jedną myślą: co dalej? zapominając zupełnie o paczce z prowiantem uszykowanej przez Stefcie na drogę.

Z początku przeszkadzali mi moi towarzysze podróży. Ksiądz parę razy przerwał mi czytanie trapiąc się rychłą utratą mego wzroku. A ta pani, która, jak widziałam w Warszawie, mizdrzyła się do Ojca, usiłowała teraz nawiązać ze mną rozmowę i zaznajomić ze swoją córką, żeby nam się droga do Zakopanego nie dłużyła.

Nie dłużyła!!!

Odburkiwałam coś nieprzytomnie. Zrażeni więc moją nieuprzejmością, współtowarzysze podróży przestali się mną interesować.

Nie czułam głodu, nie czułam, że ścierpłam, siedząc ciągle w jednej pozycji. Nie czułam też wstydu, gdy zorientowałam się, że w moim sercu nie ma już miejsca ani dla Nienaskiego, ani dla Przełęckiego i że całe moje serce oddane jest Waldemarowi ordynatowi Michorowskiemu.

To był prawdziwy bohater! Jeździł na koniu, jak przymurowany, zapalał cygaro na Wezuwiuszu (nie wiem, jak to robił i po co, ale brzmiało to pięknie). Starożytny swój zamek otoczony fosą przyozdobił gazowymi latarniami, a hrabianka Wera mówiła do niego: „Mój lwie!” Aż mi mrówki po plecach chodziły. A jak kochał Stefcie! Starą gondolę, która nazywała się „Stefania”, kazał odnowić i obić aksamitem - cóż za subtelność w okazywaniu miłości! No i potem

oświadczył się i było jak w bajce. Zmusił dumną, wyniosłą, arystokratyczną rodzinę, ażeby zgodziła się na ślub...

W tym miejscu okazało się, że pociąg wjechał w góry, więc wszyscy zaczęli się miotać przy oknach i podziwiać tak zwane „widoki”. I znów zaczęli mnie zaczepiać, żebym podziwiała razem z nimi. Odburknęłam, że tą drogą jeżdżę dwa razy w tygodniu i znam każdy krzak. No bo jeśli dwanaście lat przeżyłam bez widoku gór, to mogę przeżyć jeszcze dwie godziny, a od tej książki nie oderwie mnie żadna siła. Toteż przesiadłam się w drugi kąt przedziału oddając im okno.

A tymczasem Waldemar przymierzał na Stefci klejnoty rodowe - nie rodzinne, ale rodowe - i pojechali do Warszawy szyć wyprawę u Hersego, i byli w teatrze na *Hrabinie*. (Tu postanowiłam pójść koniecznie na *Hrabinę*, pomimo że serdecznie nudziłam się na operach i omijałam chytrze każdą okazję). I już miał być ślub, i Stefcia mierzyła ślubną suknię, gdy dostała list anonimowy, że jest i będzie trędowatą w arystokratycznej sferze, do której wchodzi. I zaraz z tego dostała zapalenia mózgu, i umarła.

Stefcia Rudecka umarła!

Oparłam głowę o książkę i zalałam się tak rozpaczliwymi łzami, że całe towarzystwo odskoczyło od okna i rzuciło się do mnie usiłując się dowiedzieć, dlaczego płaczę. A przecież nie mogłam z nimi rozmawiać o tak subtelnych sprawach. Ukryłam więc głowę w czyjś płaszcz wiszący koło mnie i łkałam. Ksiądz zaczął szeptać do tej pani z dziewczynką, iż przewidywał, że z tym dziwnym dzieckiem będą w drodze kłopoty.

Nareszcie pociąg zwolnił i stanął. Było to już Zakopane. Jak nieprzytomna włożyłam płaszcz i beret, wzięłam walizkę, ktoś wepchnął mi w drugą rękę paczkę z nieruszoną prowiantem na drogę.

Matka na widok mojej zapuchniętej z płaczu twarzy przeraziła się ogromnie i, jak to czynią wszystkie matki na świecie, chwyciła mnie w ramiona, toteż rozszlochałam się jeszcze bardziej. Ponieważ na żadne z jej przerażonych pytań nie mogłam odpowiedzieć, Matka wepchnęła mnie do bufetu stacyjnego. Naokoło nas rozstępowali się ludzie z bardzo współczującymi twarzami. W bufecie Matka kazała mi wypić trochę wody sodowej i zaczęła się dopytywać:

- Bój się Boga... - tak zaczynała zawsze, gdy była zdenerwowana. - Bój się Boga. Co się stało?

- Stefcia umarła - odpowiedziałam dzwoniąc zębami o szklankę.

Matka siadła ciężko na krześle. Bufetowa widząc mój stan, przerażenie Matki i słysząc nasz dialog, szybko podała Matce drugą szklankę wody. Matka ze zbielełą twarzą upiła dwa łyki i zaczęła pytać dalej.

- Jezus Maria! Czy chorowała?

- Tak! Na zapalenie mózgu.

- Kiedy umarła?

- W pociągu.

- Bój się Boga! To Stefcia z tobą jechała?

- Jechała i nie jechała - odpowiedziałam bo nie wiedziałam, jak inaczej odpowiedzieć.

- Dlaczego nic nie pisaliście, że Stefcia chora? Dlaczego będąc chora wyjechała do Zakopanego? Gdzie jest jej ciało? - zaczęła zadawać pytania jednym tchem.

Tu zdębiałam, bo zrozumiałam, że zaszło zasadnicze nieporozumienie i przerwałam dalszą litanię pytań.

- Mamuś! Ty mówisz o Stefci Wiszkównie, a ja o Stefci Rudeckiej. To Stefcia Rudecka umarła.

- Więc czego tak ryczysz? I co to za Stefcia Rudecka?

- Trędowata - szepnęłam dziwnie jakoś speszona.

Matka dopiła resztę wody sodowej i nagle z ulgą roześmiała się na całe gardło i na cały bufet, co wywołało jeszcze większe zainteresowanie bufetowej i bliżej znajdujących się ludzi.

Szybko zapłaciła i popychając mnie przed sobą powiedziała:

- Idź prędko. Już dosyć robiłyśmy z siebie idiotki. W sankach zaś oznajmiła:

- Cud, że z wami jeszcze nie zwariowałam, ale pewnego ranka mi się to przytrafi. - Poza tym co jakiś czas wybuchała głośnym śmiechem, co raziło niewymownie moje zbolełe i potrzebujące subtelного współczucia serce.

VII. JASZCZUR BALZAKA I ALINY

„Sam znam ze dwie czy trzy osoby, które są zupełnie normalne” - pisał Wodehouse w *Szczęściu Bodkinów*, ale na pewno nie miał wtedy na myśli Aliny. Bo znowu książka, tym razem *Jaszczur* Balzaka, stała się przyczyną zaburzeń w naszej rodzinie, na ogół przecież bardzo spokojnej.

Właśnie Ojciec rozczytywał się w Balzaku w przepysznym tłumaczeniu Boya Żeleńskiego. Tym razem jego gust udzielił się i nam. Czytaliśmy więc zgodnie Balzaka i wydawało się, że zajmie on nam dłuższy okres życia. Sam Boy przecież pouczał w swych przedmowach, że czytać to wielkie dzieło należy tam i z powrotem, co zresztą szło po linii naszych zwyczajów i zamiłowań.

I przeszlibyśmy po jakimś czasie bez wstrząsów nad tą balzakomanią, gdyby naturalnie nie Alina.

Wydawało nam się, że z wiekiem zlikwidował się jej irytujący system, stosowany od najwcześniejszego dzieciństwa, ażeby stawać się bohaterką przeczytanych książek. Od ostatniej komedii z *Rodziną Połanieckich* minęły dwa lata. Wszystko wskazywało na to, że Alina zmądrzała, ale okazało się, że jeszcze nie.

Tym razem *Jaszczur* Balzaka nadepnął jej na tę klepkę w głowie, która u niej najwyraźniej szwankowała od urodzenia.

Otóż po przeczytaniu tej książki przejęła się nią straszliwie i pozwoliła rozhulać się swojej wyobraźni ponad miarę. Późniejsze dochodzenie przeprowadzone przez Ojca, który, zaniepokojony jej stanem, wydusił z niej wszystko - wyjaśniło, że afera miała przebieg następujący.

Alina po przeczytaniu książki czuła się nią zahipnotyzowana. Rozmyślała, jak by to było cudownie mieć dla siebie taki kawałek skóry jaszczurzej, której właściwością byłoby spełnianie wszystkich pragnień. Zdawała sobie sprawę z całej nierealności tej historii, podobnej do „stoliczku nakryj się”, ale nie uświadomiła sobie w swojej głupiej łepetynie makabrycznej, odwrotnej strony medalu tej historii. Przecież każde spełnienie życzenia zmniejsza skórę jaszczura, a życie właściciela ma trwać tak długo jak jaszczur.

Po długich i bardzo upartych rozmyślaniach wynalazła sposób, ażeby przeżywać to samo co Rafael. Sposób ten był niesłychanie skomplikowany. Jednak postawiła na swoim.

Zaczęła od matematyki. Obliczyła, że w najlepszym wypadku nie warto żyć dłużej niż do lat pięćdziesięciu, bo potem jest się już starym i brzydkim, na co nie miała najmniejszej ochoty. Pięćdziesiąt lat życia minus piętnaście już przeżytych dało jej trzydzieści pięć lat do przeżycia. Te trzydzieści pięć lat pomnożyła przez trzysta sześćdziesiąt pięć dni w roku i wypadło jej dwanaście tysięcy siedemset siedemdziesiąt pięć dni. Następnie zlepiła ze sobą prawie trzy arkusze papieru podaniowego w kratkę, tak je obliczając, żeby całość miała te nieszczęsne dwanaście tysięcy kratak

licząc jedną na jeden dzień jej życia.

Miała więc swoją wymarzoną jaszczurzą skórę, a właściwie jej nędzną imitację.

Ale ten jej jaszczur nie spełniał pragnień i nie kurczył się, odwróciła więc całe zagadnienie, ażeby najlepiej zbliżyć je do niesamowitego nastroju książki, i wykombinowała sobie, że za każdą najmniejszą przyjemność, którą jej los ofiaruje, będzie płaciła właśnie tymi kratkami ze swego jaszczura.

Następnie opracowała „cennik na zrealizowane pragnienia”. Cennik ten był niesłychanie paskarski, bo: za ciastko kupione ze swojej tygodniówki odcinała jeden dzień, za ciastko, które dostała - trzy dni, za dobry film - dziesięć dni, za dobrą książkę - dwadzieścia dni, za spotkanie w tramwaju Jurka (brata mojej przyjaciółki Reni), w którym się wtedy kochała - aż pięćdziesiąt dni.

Spacer i lody w wytwornej cukierni z ukochaną przez nas jak zawsze Mizią miał rachunek bardzo skomplikowany: sama Mizia - piętnaście dni, lody - pięć, cukiernia - pięć, Osterwa, który tam siedział - dziesięć dni, a spacer i wesołe gadanie - cztery.

Z początku mając przed sobą prawie trzy ogromne arkusze kratak szafowała nimi na prawo i na lewo, oddając odważnie dwa dni życia nawet za naszą skromną niedzielną szarlotkę. Bawiło ją to niesłychanie, że jej jaszczur się zmniejsza.

Gdy jednak po jakimś czasie tej idiotycznej zabawy zobaczyła, że przeszastała prawie jeden arkusz, czyli jedną trzecią swego życia, i to w tak krótkim czasie - przestraszyła się bardzo i zaczęła oszczędzać, czyli odmawiać sobie wielu przyjemności, ażeby nie skracać w swoim maniackim wyobrażeniu własnego ożycia. Nie przyszło jej tylko do głowy, żeby wyrzucić tego głupiego kratkowanego jaszczura. Uczciwie i skrupulatnie prowadziła dalej ponurą zabawę, martwiąc się coraz bardziej.

Nic nie pomogły jej drobne wyrzeczenia, jak na przykład że ona jedna zjadła na obiad przypaloną zupę, rezygnując pod pozorem choroby z sałaty do kotletów i czereśni na deser. Bo, jakby jej na złość, nad naszymi głowami rozbiła się bania z przyjemnościami. Najpierw przyjechała spod Częstochowy nasza wujeczna siostra Żaninka, którą bardzo kochałyśmy, i na jej cześć Mizia i Lusja fundowały nam kina, teatry, cukiernie i inne dostępne dla naszego wieku źródła rozpusty. Ja pławiłam się w nich ochoczo, Alina była coraz bardziej przygnębiona.

Równocześnie Stefa szyła nam prześliczne letnie sukienki, bo ze starych wyrosłyśmy. Rzeczywiście Alina wyglądała w nich jak marzenie.

- Czy Juno we własnej osobie, czy inne jakoweś bóstwo? - powiedział nawet Ojciec widząc ją w którejś z nowych kreacji.

Ale nowe śliczne sukienki, które w innym wypadku wprawiłyby Alinę w szal radości, teraz po prostu przeraziły ją. Stefa była wyraźnie urażona, że za tyle starań i trudów Alina nie okazała jej ani trochę wdzięczności.

Wreszcie rodzice Reni na zakończenie roku szkolnego urządzili u siebie wieczorek. Byłyśmy zaproszone obydwie. Alina szła jak na ścięcie. Nawet perspektywa tańczenia z Jurkiem, który zwykle na nią największą zwracał uwagę, nie poprawiła jej humoru. Dopiero na miejscu rozbawiła się i zapomniała o fatalnym jaszczurze. Była bardzo wesoła, wyglądała prześlicznie i miała największe powodzenie. Wszyscy chłopcy naraz chcieli z nią tańczyć. Renia, ja i jeszcze dwie koleżanki siedziałyśmy jak kopciuszki. Wszyscy skakali tylko koło Aliny.

Jak tatarska orda,

Bierzesz w jasyr corda!...

podśpiewywałam w powrotnej drodze, bo brak powodzenia u chłopców nic a nic jakoś ranie nie zmartwił.

Miłe złego początki...

Zrobiwszy obrachunek za ostatnie dwa tygodnie Alina stwierdziła, że kosztowały ją pięć lat życia. I tu włosy stanęły jej na głowie. Pięć lat życia - za teatry, cukiernie, sukienki i powodzenie u chłopców...

Ale życie jest przewrotne i układa się zawsze na opak. Okazało się bowiem, że w tym roku pojedziemy na wakacje do Kazimierza nad Wisłą, gdzie jest strasznie śmiesznie, bo spędzają tam zawsze lato malarze z Akademii Sztuk Pięknych i ogromnie się wygłupiają. Przyjedzie też tam Żaninka ze swymi rodzicami. I Mizia, i Lusja też spędzą tam urlopy. Będzie więc hucznie i wesoło.

Tego już Alina nie wytrzymała nerwowo. Zalewając się łzami i trzęsąc wprost ze zdenerwowania zaczęła błagać Ojca, żeby ją zostawił w Warszawie na całe lato. Ona nie chce przyjemności, nie chce wakacji, nie chce się bawić. Jeśli jej każą wyjechać, to niedługo umrze.

Ojciec przeraził się nie na żarty, bo Alina rozhisteryzowała się okropnie. Długo nie mógł jej uspokoić i wydebić powodów tej niesłychanej rozpacz. Gdy mu wreszcie wszystko wyznała, będąc zwolennikiem zasady: klin - klinem, wyskoczył do miasta, kupił *Przygodę* Londona i kazał Alinie głośno czytać.

Tak lecząc ją Londonem z jaszczurowej choroby przesiedział z nią zamknięty całe popołudnie.

Do kolacji Alina przyszła zamaszysta, z błyszczącymi oczami i roztoczyła londonowską tężyznę ducha i ciała.

- Widzę, że *Przygoda* podoba ci się bardzo. Oddaj więc za nią ze sto dni i na resztę swego życia „Ofelio, idź do klasztoru” - powiedział na zakończenie nie bez złośliwości Ojciec.

W odpowiedzi usłyszał tylko wybuch śmiechu.

VIII. PAROKSYZM PRZYSZEDŁ NA OJCZYZNĘ

Zamiłowania są zwykle źródłem radości dla ludzi posiadających szczęście w życiu. Ja pewno urodziłam się pod jakąś nieszczęśliwą gwiazdą, bo książki były nieraz powodem moich nieszczęść i omal że nie klęsk życiowych.

Trzy razy usiłowano wylać mnie ze szkoły i za każdym razem cierpiałam za literaturę.

W trzeciej klasie znana już byłam dobrze z tego, że uprawiam niecny proceder czytania powieści podczas lekcji. Przesadzono mnie więc do pierwszej ławki pod samą katedrę, gdzie nudziłam się niemiłosiernie. Sąsiadką moją była Wiesia, pierwsza w klasie uczennica. Ona też była nudna. Odrabiała skrupulatnie wszystkie lekcje. Posądzałam ją, że odrabia śpiew i gimnastykę, gdy były w planie. Ona jedna uczyła się także religii, czego nie czyniła żadna szanująca się uczennica. Poza tym udawała wzniosłą, wysublimowaną i wyższą ponad nasze uczniowskie kawały, żarty i przeżycia.

Kiedyś zaczęła ze mną bardzo skomplikowaną rozmowę na temat spowiedzi - zbliżał się właśnie termin rekolekcji. Ale trafiła źle, bo ta dziedzina była kompletnie poza moimi zainteresowaniami. Nudziła mnie bardzo. Twierdziła, że ma do mnie zaufanie i prosiła, ponieważ tak wiele czytam, żebym jeśli nie chcę na ten temat rozmawiać, wskazała jej przynajmniej coś do czytania, bo ona musi się przygotować do spowiedzi gruntownie, solidnie i literacko.

Byłam zawsze bardzo uczynną koleżanką, więc też zaczęłam intensywnie rozmyślać i przypominać sobie przeczytane książki, żeby jej przeciw coś wynaleźć i nie zhańbić swej opinii najbardziej odcytanej uczennicy w klasie. Długo bardzo rozmyślałam, aż nareszcie znalazłam. I byłam pewna, że wyszukałam jej lekturę dobrą, odpowiednią i wartościową. Zadowolona z siebie powiedziałam do niej podczas pauzy:

- Już mam! Tylko uważaj, Wiesiu, zrób tak, jak mówię. Weź *Dzieje grzechu* Żeromskiego i przeczytaj początek. Tam na samym wstępie Ewa przygotowuje się do spowiedzi i Żeromski bardzo pięknie opisał te spowiedziowe sprawy. Ja czytając *Dzieje grzechu* opuściłam to wszystko, bo okropnie mnie znudziło, ale to będzie akurat to, czego szukasz. Tylko pamiętaj nie czytać ani słowa dalej, bo dalszy ciąg nie dla ciebie.

Zadowolona z uczciwie spełnionego obowiązku więcej już nie myślałam o tej sprawie, a na drugi dzień kazano mi iść ze szkoły do domu...

- ...i żeby przyszli rodzice - usłyszałam na zakończenie.

Jak się okazało, Wiesia powiedziała swojej matce, że ja jej kazałam czytać *Dzieje grzechu* przed spowiedzią, a matka polecała zaraz z tym do dyrektorki.

Zarzucano mi destrukcyjny wpływ na koleżanki, bo chronioną od zetknięcia się z wszelkim brudem życiowym, wypielegnowaną jak, wonny kwiat Wiesię namawiałam przed spowiedzią do

czytania takiej książki.

Drugim przestępstwem, które ten incydent wykazał, było to, że sama czytałam *Dzieje grzechu*. Wydała się więc w szkole cała moja zgnilizna moralna. Kazano mi iść do domu, ale nie byłam taka głupia i poleciałam do Ojca do biura. Ojciec zaraz zwolnił się z pracy.

- Pójdiesz ze mną. Zaczekasz w najbliższej cukierni. Nie chcę, żebyś denerwowała niepotrzebnie Matkę.

Nie miałam najmniejszej ochoty denerwować Matki i w ogóle widzieć się teraz z nią. Bo i po co? Wysłuchiwać jęczeń? Przecież wcale nie byłam winna! Ojciec zaoszczędził mi przynajmniej gadania na ten temat.

Czekałam w cukierni i okropnie się martwiłam. Nawet lody nie mogły rozproszyć mego niepokoju.

Po trzech kwadransach zjawił się Ojciec uśmiechnięty i zadowolony z siebie. Okazało się, że przez te trzy kwadransy owijał sobie dookoła palca dyrektorkę i wychowawczynię. Roztoczywszy przed nimi cały swój wdzięk wziął winę na siebie i przyznał się do tego, że pozwalał mi wszystko czytać. Dał się też łatwo przekonać, że są książki, których trzynastoletnie dziewczynki nie powinny czytać. No i obiecał, że od dnia dzisiejszego Alina i ja będziemy czytać tylko lekturę odpowiednią dla dorastających panienek i nikogo nie będziemy częstować *Dziejami grzechu*.

- Powiedziały mi Horpyny, żebyś zaraz wróciła na lekcje, ale ja bardzo żałowałam, że dziś już nie zdążysz, bo nie mam możliwości cię zawiadomić... Ciebie wyrzucili ze szkoły, ja się zwolniłem z biura i... taka ładna pogoda... Wiesz co? Idziemy nad Wisłę i zrobimy sobie wagar! Od jutra wrócimy znów do jarzma. Pamiętaj tylko, żebyś mądrzej postępowała na przyszłość - zakończył beztrząsco.

I to było wszystko, co od Ojca usłyszałam.

Na tych wagarach z Ojcem bawiliśmy się cudownie... Deklamowaliśmy wiersze Staffa i pożarliśmy trzy kilogramy jabłek.

W drodze powrotnej umówiliśmy się, że w ogóle do niczego się nie przyznamy, bo - po co denerwować Matkę. Ale niestety w domu była już Alina, która nas sypnęła. Matka wiedziała o wszystkim i była już zdenerwowana.

Tak więc nie udało mi się wykręcić od „kazań Skargi” na temat: *Dzieje grzechu* a moja głupota.

Gdy byłam w szóstej klasie, nasza polonistka, panna Nowakowska, założyła kółko literackie dla uczennic interesujących się literaturą ponad program.

Naturalnie byłam pierwsza, która się do tego kółka zapisała.

Panna Nowakowska na zebraniach chciała dalej maglować Mickiewicza, ale udało mi się podburzyć koleżanki i zażądałyśmy studiowania współczesnej poezji i beletrystyki. Ale ona

zatrzymała się na Orzeszkowej i Konopnickiej. Uparta była jak muł. Nic nie mogło ruszyć jej z miejsca. Ostatecznie po długich targach zaproponowała Asnyka. Wszystko co powstało później, nie było już w jej wyobrażeniu literaturą.

- Sakowicz, gorzeję - wykrzykiwałam, jak księżę Bogusław Radziwiłł w Potopie, zwierzając się w domu współczującej Alinie.

Aux armes citoyens!

Formez vos bataillons!

podniecała mnie do walki nieodrodna siostrzyca.

I

Nowakowskiej o literaturze słowa są jak

salonowe pieski.

A moje - jak wściekłe psy!

Pał licho wasze arabeski i burleski

I zamiast stawiać wielokropki, kreski -

Policzkujcie w swych wierszach,

Pięścią walcie w łby!

wykrzykiwałam Tuwimowskie *Słowem do krwi* dramatycznie wibrującym głosem à la Przybyłko - Potocka, bo przecież:

Jeden wiatr - w polu wiał,

Drugi wiatr - w sadzie grał:

Cichuteńko, leciuteńko,

Liście pieścił i szeleścił

Mdlał...

dokończyłam lirycznie. - Alina! Kropię taaaki referat o Tuwimie. Zobaczysz jak splantuję Nowakowską, jak wykorzystam *Litanie*, jak rznę karabinem w bruk ulicy... Nasza jest krew, a jej jest nafta. Mówię ci, upersonifikowana Literatura odbierze berło wykładów z rąk Nowakowskiej i odda je w moje ręce... Jakżeż piękne mogłyby być wykłady o literaturze, gdyby nauczyciele podchodzili do nich ze świętym ogniem gorejącym w piersiach. A oni ze strupieszalą rutyną odwalają tylko godziny trzymając się kurczowo programu. Dawaj mi wszystkie tomiki Tuwima! Zaczynam! - dokończyłam z determinacją.

- Kochana Dynio! Już też całkiem zapominasz i na stan, i na wiek twój; wszak to dziś zaczynasz... rok szesnasty - zaczęła swoją perorę Alina, oblewając mój entuzjazm zimną wodą. Taka stara, a taka głupia! - zakończyła znużywszy się deklamowaniem *Pana Tadeusza*. - Pomysł referatu o Tuwimie schowaj na inne czasy. Przecież Nowakowska, jakbym ją widziała, zadrze jeszcze bardziej swój zadarty nos i powie, że Tuwim to Żyd i że nie ma nic wspólnego z polską

poezją przez duże „P” i nie dopuści do referatu, do dyskusji i w ogóle... Przecież to idiotka. A ty się niepotrzebnie napracujesz. Pamiętasz? Raz już „przyszedł paroksyzm na ojczyznę”, gdy o mało nie wylali cię za *Dzieje grzechu*, teraz chcesz, żeby wylali cię za Tuwima, bo nie wiadomo co po głupiemu powiesz ty, a do czego oni się przyczepią. Tuwim jest Tuwimem, a Nowakowska zawsze Nowakowską zostanie i dobrze jej tak. Oczu jej nie otworzysz. Świata nie zmienisz. „Ja wójt wama to mówię, a wójt to urzędowa osoba”. Pisz o kim innym - dodała i zabrała się do czytania.

Byłam bardzo zła, bo zapaliłam się do tego referatu ogromnie. Ale Alinie musiałam przyznać rację.

Dlaczego życie jest takie skomplikowane i trudne? - rozmyślałam, głowiąc się nad wybraniem kogo innego do mojego referatu.

- Alina! A co myślisz o Wierzyńskim? - zapytałam niepewnie.

- O Wierzyńskim pisz sobie, co chcesz i ile chcesz. Przy nim nie narazisz się na żadną awanturę - i daj mi spokój, bo jestem w ciekawym miejscu - odburknęła Alina, zaczytana do reszty.

Zabrałam się do referatu o Wierzyńskim bez specjalnego entuzjazmu, rozbawiłam się jednak w trakcie pisania. Pierwsza faza jego twórczości rozradowała i rozgorzała moje serce zawsze podatne na to, co pogodne, wesołe i pełne radości życia. Czyż mogłam nie zapisywać całych stron na temat tak uroczych wierszy, jak:

Zielono mam w głowie i fiołki w niej kwitną,

Na klombach mych myśli sadzone za młodu,

Pod słońcem, co dało mi duszę błękitna.

I które mi świeci, bez trosk i zachodu.

Albo:

Słońce osusza trotuary

I białe pączki drżą na bzach.

Najmilsi moi! Jestem cały

Sentymentalnym, głupim - Ach!

Było też w tych pierwszych młodzieńczych tomikach i trochę filozofii życiowej, tak bardzo mi odpowiadającej a wypowiedzianej w czarującej formie:

A wy?! - Więc naprzód, cała sfora nas!

A nie - to z drogi! Precz mi się wynoście

I dalej jęczcie, że kiedyś, gdzieś, raz

Zdarzyła wam się straszna dziura w moście!

Z rozkoszą pławiłam się w beztroskiej atmosferze tomików *Wiosna i wino* i *Wróble na dachu*, zapisując całe stosy papieru, z czego trzeźwa Alina wyrzucała mi stale dziewięć dziesiątych twierdząc, że gładzę.

Ostatecznie pokłóciwszy się tylko parę razy miałam gotową pierwszą część referatu. I wtedy przyszedł wielki kłopot, bo następny tomik pod tytułem *Wielka Niedźwiedzica* był wyczerpany i nie mogłam go nigdzie kupić. Ojciec też szukał na swoją rękę. W końcu upolował kogoś, kto znał Wierzyńskiego i do niego zatelefonowali, że pewnej uczennicy potrzebny jest tomik *Wielka Niedźwiedzica* do referatu na kółku literackim w szóstej klasie, więc czy on nie wie, gdzie można by tę *Wielką Niedźwiedzicę* dostać. Wierzyński bardzo się podobno śmiał i powiedział żebym przyszła do niego w niedzielę, to mi pożyczy tę książkę, bo jest wyczerpana i nigdzie jej nie można kupić.

Bardzo przejęta, bo to był pierwszy sławny człowiek, którego miałam poznać, stawiałam się na oznaczoną godzinę.

Wierzyński okazał się taki jak jego wiersze. Miły, przystojny, uroczy i ciągle śmiał się ze wszystkiego, co powiedziałam. Było więc bardzo wesoło. *Wielką Niedźwiedzicę* dał mi w prezencie z piękną dedykacją. Byłam zachwycona i dumna jak paw.

Referat wypadł pięknie, ale efektu, na jaki liczyłam, nie osiągnął. Panna Nowakowska wysłuchiwała go z miną pogardliwą, koleżanki ledwo coś bąknęły na ten temat. Niestety nie udało mi się rozpalić w ich sercach świętego ognia entuzjazmu dla poezji. Wiedziałam, że parę z nich nauczy się wiersza *Zielono mam w głowie*. Ot i wszystko. A właściwie nie wszystko, gdyż bez awantury się nie obeszło.

I znów „paroksyzm przyszedł na ojczyznę” - jak by powiedziała Alina. A przecież zapewniała mnie, że jeśli będę pisała referat o Wierzyńskim, nie narwę się na awanturę.

Aliści los sprawił inaczej.

Dyskusja nad referatem zupełnie się nie kleiła, bo nikt nie miał nic do powiedzenia, a Nowakowska siedziała jak mumia z kamienną twarzą. Więc jedna z koleżanek, ażeby rozproszyć nudę, która zawisła nad klasą, odezwała się:

- A Zosia była u Wierzyńskiego i on jej dał książkę...

Panna Nowakowska ożywiła się i kazała mi opowiedzieć, jak to było. Więc opowiedziałam.

A na drugi dzień kazano mi iść do domu... i żeby rodzice przyszli do szkoły.

Na ogół wszystko odbyło się jak poprzednio. Tylko Ojcu poszło trochę ciężiej, bo polonistka była twardsza niż wychowawczyni, Ojciec spracował się ciężko, zanim ją ugłaskał.

A wszystko poszło o to, że gdybym pisała referat o Asnyku, który dawno umarł, nie potrzebowałabym składać wizyt młodym poetom, co jest bardzo nieodpowiednią rzeczą dla szesnastoletniej panienki. Ojciec zobowiązał się solennie, że już nigdy więcej nie będą pisać referatów o żyjących autorach, ale tylko o na pewno umarłych.

W pół roku potem wyrzucano mnie po raz trzeci i ostatni. Ale w tym wypadku była to już niestety moja wina.

A przytrafiło mi się to przez Boya Żeleńskiego i *Wiadomości Literackie*. Ojciec naturalnie prenumerował *Wiadomości* i my z Aliną czytałyśmy je od deski do deski. Jeden artykuł Boya zapoczątkował aferę, której padłam ofiarą. Opisywał w nim Boy cały szereg pomyślonych typów nauczycielskich ze swoich szkolnych czasów, którzy i stali się kompletnymi dziwakami po wielu latach nauczania. Sylwetki, które opisywał, były tak zabawne, że zapłakiwałyśmy się z Aliną ze śmiechu. Na zakończenie, ze zwykłą mu wnikliwością, przeskoczył Boy w zupełnie inny nastrój i zakończył twierdzeniem, że nauczycielski zawód, wymagający ciągle napiętej uwagi, prędzej zużywa organizmy ludzkie niż inne zawody. A ponieważ w ręku nauczycielstwa jest przyszłość kraju, bo nie tylko uczą, lecz i wychowują przyszłe pokolenia, należałoby zrewidować ustawę emerytalną dla nauczycielstwa i skrócić termin wysługi lat dla tego zawodu.

Boy nie miał szczęścia do ludzi ograniczonych. Jeśli ruszył jakieś społeczne zagadnienie i rozwijał je z genialną wprost logiką, natychmiast rzucano się na niego z nienawiścią i furią. W latach międzywojennych był jak czerwona płachta na byka. Rozjuszonym bykiem była rodzima dulszczyzna.

Artykuły Boya odbierały rozum i inteligencję jego przeciwnikom. Nie umieli ich czytać logicznie i spokojnie. Stąd masa polemik, dostarczających uciechy obserwatorom, gdyż dzięki ciętymu językowi Boya przeciwnicy jego wychodzili z tych zapasów ośmieszeni często na długie lata.

I w tym wypadku dyskusja rozpalila się na całego. Obserwowałyśmy ją z Aliną z tym większym zainteresowaniem, że na łamach *Wiadomości* wydrukowano odpowiedź Boyowi pióra naszego drugiego w szkole polonisty, który wykładał w klasach równoległych i czasem zastępował u nas pannę Nowakowską.

W tym pierwszym swym polemicznym artykule nasz Oleś skompromitował się z miejsca. Zaczął pretensjonalnie rozdzierać szaty nad pierwszą częścią artykułu Boya i grzmieć przeciw niemu za to, że ośmieszając nauczycieli pozbawia ich autorytetu.

Nie mogłyśmy się z Aliną doczekać czwartku, dnia, w którym wychodziły *Wiadomości*, ażeby dorwać się do odpowiedzi Boya i zobaczyć, jak splantuje Olesia. Tymczasem doznałyśmy rozczarowania. Boy w odpowiedzi tłumaczył Olesiowi, jak dziecku, że opisywał zdziwaczałych i niezbyt już normalnych nauczycieli ze swego dzieciństwa w c. k. austriackim Krakowie i Lwowie po to, ażeby właśnie zwrócić uwagę na to, co było przedtem złego i żeby teraz było lepiej. W dalszej części artykułu rozwiódł się szeroko o chorobach zawodowych nauczycielstwa. Będąc lekarzem z wykształcenia, pisał mądrze, a poza tym ciekawie jak zawsze i szlachetnie. Zakończył znów żądaniem rewizji ustawy emerytalnej.

Artykuł był poważny, spokojny, walczący przeciw o dobro całego nauczycielstwa. Toteż nie mogłyśmy zrozumieć, co rozsierdziło Olesia, że w tydzień później odpowiedział Boyowi

artykułem wprost skandalicznym. Znowu Boy napisał jedno - on przeczytał i zrozumiał co innego. Czepiał się tylko opisu chorób zawodowych i wymyślał Boyowi, że o tych chorobach pisze i obraża cały stan nauczycielski.

Byłyśmy z Aliną oburzone na *Wiadomości Literackie*, że wydrukowały te świństwa Olesia. Boy miał przecież tylu wrogów. A każdy artykuł przeciw niemu przysparzał mu nowych, gdyż głupota ludzka jest bez granic.

Martwiłyśmy się bardzo.

Puenta polemiki zjawiała się w następnym numerze, i to kapitalna. Boy stracił do Olesia cierpliwość i odpowiedział mniej więcej tak:

Artykuły polemiczne profesora Aleksandra X. dowodzą, że sprawa rewizji ustawy emerytalnej dla nauczycielstwa jest sprawą palącą, ponieważ nauczycielstwo podlega nie tylko chorobom zawodowym wymienionym w poprzednich artykułach, ale ulega też strasznej chorobie zwanej „polski kołtun”...

Igrał Oleś z Boyem, igrał, aż się doigrał.

Doigrałam się też wraz z Olesiem i ja, bo w piątek zabrałam *Wiadomości* do szkoły i na pauzie przeczytałam całej klasie. Rozbawiłam się tak, że zorganizowałam składkę, wyskoczyłam z narażeniem życia do kiosku i kupiłam piętnaście numerów *Wiadomości*, które rozdałam, po jednym na dwie koleżanki. Gdy panna Nowakowska zjawiała się na swą lekcję, wielka cisza panowała w klasie i wszystkie uczennice zasłonięte były *Wiadomościami Literackimi* i niby zaczytane w wiadomym artykule.

Nowakowska weszła, spojrzała i wyszła.

A teraz pytam się, czy ja miałam na czole napisane, że to ja? Skąd oni domyślili się, że to moja robota? Zaprawdę - nie wiem!

W piętnaście minut zostałam wezwana do dyrektorki i kazano mi iść do domu... I żeby rodzice przyszli.

Tym razem „paroksyzm”, który „przyszedł na ojczyznę”, trwał trzy dni.

Trzy dni Ojciec, jak rycerz Bayard, „sans peur et sans reproche” walczył o moją sprawę.

IX. PRZYŚLĘ PANU LIST I KLUCZ

Alina przeżyła szkolne czasy też niezbyt spokojnie. Nawaliła bowiem z nauką w siódmej klasie tak fatalnie, że zostawili ją na drugi rok.

Ojciec, jak to nasz Ojciec. Nie bardzo się tym przejął.

- Dzień sądu idzie przez Dzikie Pola... - powiedział tylko spojrzawszy na twarz Matki, ale zaraz się zreflektował i zaczął ją pocieszać, że bywają większe nieszczęścia, że przecież nie można robić dramatu z takiego drobiazgu i że jeden stracony rok w życiu człowieka to chwilka tylko wobec całego życia, a cóż dopiero wobec wieczności.

Ale trudno było uspokoić Matkę, bo w swoim nadwrażliwym na „obowiązek” sercu czuła się winna. I to było dla nas wszystkich najgorsze. Gdyby Matka miała przekonanie, że to sprawka Aliny, to skończyłoby się wszystko na tym, że wykrzycałaby Alinę. Matka zaś winała siebie. Od dawna bowiem uległa już miękkiej i pogodnej atmosferze, którą Ojciec beztróska roztaczał.

Sprawdzanie odrabianych przez nas lekcji należało już do zamierzchłej przeszłości. Poza tym będąc pod wrażeniem urody Aliny, która z wiekiem robiła się rzeczywiście coraz ładniejsza, była dla niej za bardzo już pobłażliwa. Ogromnie cieszyła się powodzeniem, jakie Alina miała od najwcześniejszych lat. Toteż przez palce patrzyła na ślizgawki, wieczorki, spacerki i gromady chłopasów, które się za Aliną włóczyły, gdzie tylko się pokazała.

Alinie to za wczesne dorośnięcie nie zmieniło zamiłowań. Umiała, jak twierdziła, połączyć miłe z pożytecznym, czyli wobec tego trybu życia światowej panny na czytanie powieści zostały jej późne wieczory i noce. Nic więc dziwnego, że nie miała już czasu na odrabianie lekcji.

Obrywała więc dwóję za dwóją, co w domu ukrywała w nadziei, że zdąży jeszcze poduczyć się przed końcem roku. Rzeczywiście na trzy tygodnie przed tym terminem cisnęła książki i zaczęła się obkuwać wieczorami i nocami, czego potem serdecznie żałowała, bo i tak miała już za plecami napisane, jak w obozie pod Ujściem z *Potopu*: Mane - Tekel - Fares.

Dowodzenia jej, że „to czarna intryga profesorów”, nikt w domu nie brał poważnie, bo była to tylko cytata z *Nad poziomym* Wołody Skiby.

Natomiast Matka poważnie podjęła znów swoje obowiązki i skończyła się szkoła pod pierogiem, a zaczęła się pod batogiem. Chłoptasy zostały przegnane i zastosowano kuratelę ze wszelkimi obostrzeniami.

Ale dlaczego kuratela ta objęła także i mnie? Przecież ja nic nie zawiniłam, świadectwo przyniosłam znośne i do następnej klasy zostałam promowana.

Dlaczego?

Można się było o to spytać Matki. Ale w tym okresie, gdy jej „poczucie obowiązku” aż palpitowało, wolałam nie zaczynać na ten temat rozmowy.

Gdy więc zaczął się nowy rok szkolny, powędrowaliśmy razem już nie tylko do tej samej szkoły, ale i do tej samej klasy. Alina zaraz na wstępie oplątała wychowawczynię, oświadczając jej z uroczym nieśmiałością, że naszego Ojca, ubogiego urzędnika państwowego, nie stać na kupno dwóch egzemplarzy tych samych książek dla drugiej córki. Ażeby więc zaspokoić nasz głód nauki, wychowawczyni powinna posadzić nas w jednej ławce. Trafiło to, widać, nauczycielce do przekonania, gdyż, ku naszej uciechu, nie zostałyśmy rozłączone.

I zaczęły się dni bardzo jednostajne: dom - szkoła, szkoła - dom.

Mnie to osobiście nie dręczyło i humoru mi nie psuło. Tak żyć lubiłam i mogłam twierdzić jak Przełęcki w *Uciekła mi przepióreczka*, że „takie są moje obyczaje”.

Alina, w przeciwieństwie do mnie, była bardzo impulsywna, żywa i zapalna. Toteż ten tryb życia, który nam zaaplikowała Matka, nużył ją i nudził straszliwie. Musiała dać jakieś ujście niewyżytej energii.

Wpadła więc na pomysł zorganizowania teatru amatorskiego i udało jej się to łatwo, bo gdy tylko zjawiała się w naszej, nowej dla niej klasie, nie wiem jakim sposobem, od razu zrobiła się bardzo popularna i cała klasa przystąpiła z zapałem do wykonywania jej pomysłów.

Na pierwszy ogień poszedł Fredro.

Wielki wieczór fredrowski składał się z *Pana Beneta* i *Świeczka zgasła*.

Alina naturalnie grała w obu sztukach główne bohaterki. Ja zaś musiałam suflerować, czesać, przyszywać, latać w ostatniej chwili po dziesiątki zapomnianych a nieodzownych przedmiotów, rozciągać kurtynę i być popychadłem dla artystek, które się denerwowały i miały tremę.

- Barbara, pyf! Rurki! Służba tu! - poganiała mnie ciągle Alina słowami z *Pojednanych* Prusa. A ja dla dobra SZTUKI goniłam w potrzebnych i niepotrzebnych kierunkach szepcząc sobie tylko na pociechę:

- I miecz troił się w rękach rycerza.

Sukces był ogromny, a gafa tylko jedna. Przytrafiło się to przy samym zakończeniu *Świeczki*. Wszystko do tego miejsca szło świetnie. Co prawda i pan Władysław - Marysia, i Alina zjadły w trakcie sztuki w paru miejscach po parę zdań, a ja myślałam, że zemdleję w rogu za kurtyną. Z tego kącika bowiem podpowiadałam i tam zimne poty na mnie biły, gdy nie mogłam odszukać w książce tego miejsca, z którego one nagle zaczynały gadać. Ale na pewno tego nikt nie zauważył. Po wtóre przecież nie skróciły tym na tyle sztuki, ażeby pod sam jej koniec jeszcze ze trzy centymetry tej piekielnej świeczki sterczało, jak na urągowisko, na stoliku.

Do dziś zastanawiam się, jak robią w prawdziwym teatrze, żeby wycelować z tą świeczką. Przecież ona musi gasnąć co do sekundy w określonym momencie. Nam na wielu próbach, które robiłyśmy, gasła albo za wcześnie, albo za późno.

Byłyśmy wszystkie trzy zdenerwowane tą sztuką, bo przecież, gdy tylko dwie osoby gadają na scenie tak długo i nic innego się nie dzieje, bardzo trudno nie pomylić się. Toteż zapomnieliśmy zupełnie o świeczce.

Przypomniała nam się ona, gdy nagle dojechawszy już z tekstem prawie do końca, Alina spojrzała na nią i jęknęła przerażonym głosem:

- Panie Władysławie, świeczka się dopala!

Wtedy i pan Władysław, i ja, sufler, i cała publiczność spojrzeliśmy na tę przeklętą świeczkę. A tu stoi jej jeszcze kawał na stoliku i pali się sobie najspokojniej.

Pana Władysława porwała taka panika, że zaczął coś tam mamrotać pod nosem, czego szczęśliwie nikt na sali nie usłyszał, bo jak mi później Alina opowiadała, Marysia powtarzała wtedy w kółko:

- O Boże! Boże! i co my teraz zrobimy!

Sytuacja była rzeczywiście tragiczna. Alina jednakże miała rogałą duszę, wzięła inicjatywę w swoje ręce, i uważam, że poradziła sobie świetnie.

Omdlewającym głosem odezwała się na całą salę:

- Panie Władysławie! Świeczka zgasła! - posłała Marysi uwodzicielskie spojrzenie, uśmiechnęła się porozumiewawczo do publiczności, przechyliła przez stół i dmuchnęła na świeczkę tak potężnie, że ten szatański rekwizyt nareszcie był zmuszony odegrać swoją rolę.

Prędko złapałam za kurtynę i zaciągnęłam ją.

Sala trzęsła się od oklasków.

Natychmiast popędziłam na widownię do naszego towarzystwa, sprawdzić wrażenie i dowiedzieć się, jak to wszystko wypadło, bo jako sufler nie miałam należytej perspektywy i trudno mi było zdobyć się na obiektywną ocenę.

Nasze towarzystwo zajmowało chyba piątą część sali, bo poza rodzicami, Mizią i Lusią byli i wujostwo Lewińscy, i chyba ze trzy urzędy skarbowe, które Ojciec ściągnął, ażeby zapewnić oklaski sukcesom Aliny. Wszyscy, gdy przyszedłam, wydawali się bardzo rozweseleni i zadowoleni, a Mizia ocierała łzy. Byłam więc zachwycona, że tyle pracy nie poszło na marne. Gdy nagle usłyszałam, jak jeden z panów tak się do Ojca odezwał:

- Panie kierowniku! Ogromnie dziękuję, że mnie pan na ten wieczór zaprosił. Dawno się tak nie ubawiłem! Już też i *Qui Pro Quo* nie potrafiłoby lepiej wystawić parodii pensjonarskiego przedstawienia.

A Mizia zaczęła znowu płakać w chustkę.

Parodii?

Bałwan!

Ale Alina była z siebie zadowolona i w parę tygodni potem zorganizowała następne

przedstawienie. Tym razem była to dla nas „rewia” - dla ciała pedagogicznego nazwałyśmy to koncertem. A więc śpiewy, deklamacje, tańce i jednoaktówka pióra Aliny.

Ta jednoaktówka narobiła jej trochę kłopotów w szkole.

W ogóle po tym doświadczeniu doszłam do przekonania, że nie warto się w życiu starać, pokazywać swój lwi pazur i, że się tak wyrażę, geniusz. Jak było z moim referatem o Wierzyńskim, tak i ze sztuką Aliny. Satisfakcję miało się tylko w trakcie tworzenia, a potem same kłopoty.

Treść tej nieszczęsnej jednoaktówki była bardzo prosta. Uczennica (grała ją naturalnie Alina) siedzi przy stoliku, trochę się uczy, trochę gada, ażeby wprowadzić publiczność w meritum sprawy i zasypia nad książką. Ale tak zasypia, jak w *Weselu* Wyspiańskiego, że tu śpi, a tu dalej gra i gada z osobami, które jej się we śnie zjawiają. Z jednej strony są to pokusy, które odciągają ją od nauki, a więc: sport, film, teatr, rewia, lotnik i korporant (oni wtedy byli bardzo modni pomiędzy snobującymi się pensjonarkami). A z drugiej strony straszą ją zdeformowane przez sen przedmioty naszej nauki.

Wszystko to podlane było sosem z *Wesela* i miało trochę wdzięku i dowcipu.

W skutkach okazało się rzucaniem pereł przed wieprze. Bo ile było postaci, tyle potem kłótni, intryg, plotek, awantur i wrogów.

Ksiądz obraził się, że „rewia” była za bardzo rozebrana i zadzieriała nogi do góry.

Paru kuzynów i ukochanych naszych koleżanek, którzy byli korporantami, bardzo się obraziło, gdy zobaczyło rzeczywiście złośliwą, swoją karykaturę na scenie i gdy Alina odrzucając uczuciowe propozycje swego partnera zaśpiewała na zakończenie:

Miałeś korporancie piwa róg,

Miałeś korporancie dekel z piór.

Dekel wicher niesie,

Piwo huka w lesie,

Ostał ci się jeno sznur...

Nauczycielka historii wykazała zupełny brak inteligencji. Uraził ją kostium, jaki miała na sobie Historia, a przecież tak byłyśmy dumne z tego pomysłu Aliny: jedna noga Historii miała grecki czy rzymski sandał, nagolenniki i białą krótką spódniczkę, druga zaś jeden spodeń od munduru ułańskiego z amarantowymi lampasami; od pasa w górę jedna połowa była we fraku ludwikowskim z żabotami i koronkami, druga w zbroi ze srebrnego papieru, a od pleców sterczało jedno husarskie skrzydło; na głowie była konfederatka czy krakuska, czy rogatywka, czy jak tam się nazywa to nasze narodowe nakrycie głowy. A nauczycielce to się nie podobało...

Bardzo dziwni są ludzie. Bo w przeciwieństwie do niej na przykład Nowakowska to właściwie miała prawo się wściekać. Literatura bowiem była niby szalona Ofelia. Miała zupełnie dobrze napisany monolog - konglomerat z Szekspira, Słowackiego i Mickiewicza. Gubiła kwiatki, z

którymi weszła na scenę, a gdy je wszystkie w trakcie monologu i potem w rozmowie z Aliną pogubiła, to okazało się, że trzyma w ręku zwyczajny psi, skórzany kaganiec, w którym zaraz zapaliła się w środku latarka i stał się „oświaty kagańcem.”

Znając już od paru lat Nowakowską, nie dziwiłam się jej oburzeniu na widok takiego szargania świętości narodowych.

Nauczycielka psychologii też się obraziła. Alinie zabrakło konceptu na Psychologię, więc po prostu wyrysowała na tekturze dwa wielkie psy, wycięła je i pomalowała. Ogony tych psów związała na misterny węzeł, w który wetknęła wielką kartkę z napisem: „chologia”. Taki to miał być rebus. A szczełam za kulisami - ja.

Wychowawczynie również była oburzona, i to za śliczną sceną z lotnikiem.

Lotników uwielbiałyśmy, aczkolwiek nie znałyśmy ani jednego. Ale w tym okresie pokazał się pierwszy tom lotniczych opowiadań Janusza Meissnera, więc naturalnie musiałyśmy być w nich zakochane.

Nasz lotnik z przedstawienia był śliczny. Grała go jedna z najładniejszych i najwyższych koleżanek, wypożyczona z ósmej klasy. Scena między nim a Aliną była liryczna i piękna. Alina rzeczywiście prześlicznie na zakończenie powiedziała:

...a jak będę zakochana,
przyślę panu list i klucz.

I po co było tyle kazań na ten temat, jeśli to jest przecież dosłowna cytata z *Wesela*. A *Wesele* jest w programie szkolnym, czy nie jest? Więc dlaczego zaraz mowa o nieprzyzwoitościach?...

X. PAVONCELLO

W tym samym okresie, gdy Alina wyżywała się jako aktorka, reżyser i dramaturg, ja znalazłam sobie drugą przyjaciółkę. Nie tę od serca, bo „pokrewną mi duszą”, jak by powiedziała Ania z Zielonego Wzgórza, została na całe życie Renia, ale taką od zamiłowań.

Siedziałam wtedy w jednej ławce z Aliną.

Zawsze się mówi, że najważniejszą sprawą w życiu jest dobra organizacja. Dobra organizacja to połowa roboty, słyszałyśmy bardzo często. No więc zorganizowałyśmy sobie z Aliną odrabianie lekcji tak świetnie, że ona odrabiała jedne przedmioty, ja drugie. I rzeczywiście, jak slogan obiecywał, praca zmniejszyła nam się o połowę.

Ale w szkole, jak to w szkole - zawsze się kiedyś wpadnie. Po jakiejś więc klasówce, którą napisałyśmy za bardzo jednakowo, była wielka awantura. I wszystko skończyło się tak zwanym w żargonie uczniowskim flancowaniem, czyli przesadzaniem.

Alina, która jak zawsze miała szczęście, dostała na moje miejsce pyszną koleżankę Zule, która pasowała do niej jak kompanionowie do Kmicica. A ja wpadłam szpetnie, bo przeflancowano mnie do Anki.

Anka była jedną z najlepszych uczennic w klasie, ale koleżanki jej nie lubiły. Ambitna, zamknięta w sobie, żyła życiem bardzo samotnym w naszej dość zżytej gromadzie. Dopiero gdy przy niej usiadłam, zorientowałam się, że właściwie nic o niej nie wiemy. Przyszła do naszej szkoły dopiero w tym roku i z nikim się nie przyjaźniła. Nie wiedziałyśmy więc, jakie są jej zamiłowania w jakim aktorze filmowym się kocha ani w ogóle nic. Była dla mnie białą nie zapisaną kartą.

Złościłam się, że to wszystko tak się ułożyło, ale, jak już nie pierwszy raz w życiu, musiałam ulec siłom wyższym.

Próbowałam wobec tego rozgadać się z Anką, ażeby jakoś uczynić znośniejszym to pożycie w jednej ławce, ale ona nie okazała mi wcale ciepła i była jak drewno. Wobec tego doszłam do przekonania, że jest po prostu zwyczajnie nudna i kuje tylko lekcje na stopień. Przestałam na nią zwracać uwagę.

Tak minęło parę tygodni.

Któregoś dnia podczas ogromnie nieinteresującej lekcji, po prostu ażeby nie zasnąć, zaczęłam kaligrafować ozdobnymi literami w brulionie zdanie, które pewnie dlatego, że mi się podobało, utkwilo mi w głowie:

PAVONCELLO ZASTANAWIAJĄC SIĘ NAD ŻYCIEM POWAŻNIE I GŁĘBOKO
PĘDZIŁ JE PŁYTKO I LEKKOMYŚLNIE.

Anka spojrzała przez ramię i aż ją podrzuciło na ławce.

- Czytałaś? - zaszepotała.

- No, pewno! - odpowiedziałam.
- A co jeszcze znasz Żeromskiego prócz tej noweli? - zapytała.
- Wszystko! - odszepnęłam.
- A Nienaski podoba ci się?
- Och tak! A Przełęcki?
- A Rafał? A Krzysztof?

Zagadałyśmy się tak o powieściach Żeromskiego i jego bohaterach, że najpierw zapisano nas do dziennika za rozmawianie w klasie podczas lekcji, ale że nie mogłyśmy zahamować lawiny naszego entuzjazmu podniecanego nawzajem, wyrzucono nas wreszcie za drzwi, ku naszej radości. Na korytarzu usadowiłyśmy się na oknie, gadając jedna przez drugą.

I wtedy dopiero odkryłam wszystkie uroki Anki, które wydały mi się tym wartościowsze, że tak niespodziewane.

Po szkole nie wróciłam, jak zwykle, z Aliną do domu. Nie miałam czasu na takie drobiazgi, jak dom i obiad. Anka też musiała sobie powetować te parę miesięcy, które przesiedziała w naszej klasie nie odzywając się do nikogo.

Stwierdziłam, że Anka także goreje świętym ogniem umiłowania literatury. Opowiedziałam jej wszystko o Wierzyńskim i o katastrofie z moim referatem i zorientowałam się, że gdyby Anka w zeszłym roku była w naszej klasie, zupełnie inaczej wyglądałaby dyskusja. Anka czytała Wierzyńskiego, czytała Tuwima, znała Boya, prenumerowała *Wiadomości Literackie*. I miała poglądy podobne do moich.

Poza tym Anka znała język francuski od dzieciństwa, nie tak jak my - tylko ze szkoły, i czytała w oryginale, a nie w tłumaczeniach. Otwierała przede mną nowe horyzonty. Baudelaire'a, Verlaine'a znałam tylko z nazwisk. Rimbauda też. Wstydziałam się. A zaimponowała mi i olśniła zwierzając się, że uczy się teraz angielskiego poza szkołą, ażeby czytać i angielską literaturę w oryginale. Gadając o tych stosach książek, które już przeczytałyśmy i o tych piramidach książek, które musimy jak najprędzej przeczytać, wędrowałyśmy przed siebie i wędrowały, najpierw Alejami Jerozolimskimi, potem przez most Poniatowskiego i nie wiadomo kiedy znalazłyśmy się w parku Skaryszewskim.

Wiosna już była w całym rozkwicie i pewnie było tam bardzo pięknie, ale nie widziałyśmy tego, zapatrzone w całe skorowidze sławnych nazwisk i tytułów.

Wąłując się po panku, zagadane właśnie o Rabindranacie Tsgore, który w tym okresie akurat wypłynął na rynek wydawniczy, zawędrowałyśmy pod rzeźbę Jackowskiego: *Tancerka*.

Tam opadły z nas wszystkie mądrości, o których chyba od trzech już godzin gadałyśmy, a wyszły znów śmieszne i czasem dziecinne pensjonarki.

Przypomniało nam się, że Ernesto - Pavoncello ujrzał po raz pierwszy swą ukochaną pod

rzeźbą. To, że i my znalazłyśmy się też przy rzeźbie tak zupełnie przypadkiem, urosło do roli jakiegoś wyjątkowego przeznaczenia i wprawiło nas w nastrój bardzo uroczysty. Analogia spotkania Pavoncella i spotkania się naszego i naszych zainteresowań tak nas wzruszyła, że ustawiłyśmy się pod *Tancerką* i jak Ania z Dianą wydeklamowałyśmy przysięgę wiecznej przyjaźni w literaturze.

Wiele cudownych chwil przeżyłam później w towarzystwie Anki.

Był okres, że rzuciłyśmy się na Słowackiego. Przystudiowałyśmy *Króla Ducha* i *Genesis z ducha*. Wszystko do najdrobniejszych szczegółów wtedy rozumiałyśmy, nie wiem teraz, jakim sposobem.

Potem, oczarował nas *Książka Marek* i diabli wiedzą po co, uczyłyśmy się go całego na pamięć.

Lecz przy tak wzniosłych zamiłowaniach stale i zawsze witając się i żegnając mówiłyśmy do siebie porozumiewawczo: „Pavoncello”.

XI. SIENKIEWICZOLOGOWANIE

Ostatnie szkolne wakacje przed maturą spędziłyśmy u dziadków pod Częstochową.

Dziadkowie posiadali za miastem mały domek, duży i ładny ogród owocowy i troszkę pola. Wraz z Żaninką zamieszkałyśmy w białym, panieńskim, staroświeckim pokoiku na facjacie, który ongiś należał do Mizi i Lusi. Przywiozłyśmy naturalnie z sobą dwie walizy książek, postanowiłyśmy bowiem rozczytać po naszymu miłą sercom naszym kuzynkę.

Tymczasem na drugi dzień po naszym przyjeździe zjawił się z miasta na rowerze wuj - ojciec Żaninki, ażeby sprawdzić, jak się urządziłyśmy i czy nam wszystkim czego nie brakuje. Przy podwieczorku po oplotkowaniu najważniejszych wydarzeń rodzinnych, których zresztą było niewiele, rozmowa zesłała naturalnie i na książki. Widocznie emanowałyśmy z Aliną jakimiś fluidami książkowymi.

- A znacie dobrze Sienkiewicza? - zapytał wuj.

- Na pamięć! - zawołałyśmy jednocześnie z Aliną.

- No to zaraz sprawdzimy. - Wuj poprawił się w trzcinowym fotelu.

- Pytaj, waść! - powiedziała Alina żartobliwym głosem.

Wuj uśmiechnął się.

- Jeśli jesteś taka pewna siebie, to powiedz mi, jak się przedstawił Chmielnicki Skrzetuskiemu, gdy ten wyratował go od napaści sług Czaplińskiego.

- Jestem Zenobi Abdank herbu Abdank - wyrecytowała Alina.

- Z krzyżykiem - dodał wuj.

- Z jakim krzyżykiem?! - zawołałyśmy.

- Widzicie! Lecicie za treścią i nie czytacie uważnie. Sprawdźcie w pierwszym rozdziale.

- Och! To taki drobiazg - ratowała się Alina.

- No to uważaj teraz i powiedz mi, z którego to jest miejsca: „Hasło? - Upsala! - Odzew? - Korona! - Dam ja wam Upsalę i Koronę!”

Alina zaczęła się jąkać, że to pewnie pod Zbarażem, a mnie aż zatkało z przerażenia, że tego rzeczywiście nie wiemy. Żanina zaś zachichotała z wielkiej uciechy.

- No, widzę, że to ja dam wam Upsalę i Koronę - rzekł wuj i zwrócił się do mnie: - Wylicz mi wszystkich kompanionów Kmicica.

Pamiętałam ich tylko czterech.

- Co darli ze sobą starosta Czapliński i Chmielnicki?

- Koty darli! - zawrzeszczałyśmy szczęśliwe, że nareszcie na jakieś pytanie umiemy odpowiedzieć.

Ale ten tryumf nie na wiele nam się przydał, bo niestety nie pamiętałyśmy o tym, że ród

Kurcewiczów - Bułhów od Koriata się wywodził. Nie pamiętałyśmy, kto miał przezwisko: Miserere mei. Pokręciły nam się rzeczki: Omelniczek, Kahamlik i Czertomelik.

Trochę podratowałyśmy się latercynową misą, suhakiem, którego pachol ze skóry obłupywał, i kropiastym pasem, ale znów wpadłyśmy przy wyliczaniu świty księcia Jeremiego. Nieświadomość nasza, że Baranowski był w husarii, Wurcel artylerią kierował, a Bychowiec porucznikował w książęcej chorągwi wołoskiej - wydała nam się kompromitująca.

Fotel, na którym siedział wuj, trzeszczał coraz bardziej tryumfująco, a my byłyśmy coraz bardziej zgnębione.

W końcu Alina jęknęła:

- Kończ, waść! Wstydu oszczędź!

- Na pamięć znacie Sienkiewicza! - drwił wuj.

- Dajemy ci parol kawalerski, że za dwa tygodnie nie uda ci się tak jak dziś i suponuję, że nie spotka nas już taka konfuzja.

- No, dobrze! Za dwa tygodnie w niedzielę zorganizujemy wielki turniej. I jeśli będziecie tak odpowiadać jak dzisiaj - to taki tumult uczynię.

- Wuj tumult uczyni! - odezwała się basem a la Roch Kowalski.

- Cicho ty, koński łbie! - zapiszczała falsetem Alina, naśladując pana Wołodyjowskiego.

Na moje odezwania to ona zawsze potrafiła znaleźć odpowiedź nie tylko trafną, ale i obraźliwą. A na trzy czwarte pytań wujka wiła się tylko, jakby ją kto szydłem ekscytował. Chciałam wszcząć z nią kłótnię, ale solidarność wobec wspólnego wroga - wujka i bliskiego terminu turnieju zreflektowała mnie.

Wieczorem postanowiłyśmy odprowadzić wuja do miasta, ażeby zabrać od wujostwa *Trylogię* i zaraz od jutra rana przygotowywać się do wielkiej batalii. Odkryłyśmy, w wujku Wielkiego Mistrza sienkiewiczologii i postanowiłyśmy, jeśli się nie uda go zakasować, to chociażby mu dorównać. Przeczytał on bowiem Sienkiewicza tyle razy, że chyba tylko astronom potrafiłby to określić cyframi.

Wróciłyśmy o północy obładowane książkami. Od rana też rozłożyłyśmy się z warsztatem pracy na werandzie. Czytałyśmy głośno na zmianę z zegarkiem w ręku. Ta, która nie czytała, zapisywała wszelkie szczegóły i szczególiki, które po każdym rozdziale powtarzałyśmy sobie, wpytując się nawzajem. Poza tym szykowałyśmy łapanki na wujka, bo w programie turnieju zostało ustalone, że i my będziemy zadawały pytania. Najbardziej liczyłyśmy, że przyłapiemy go na tym szczególe, który z rycerzy księcia Jeremiego, od której panny z fraucymeru dostał upominek na wojnę. Mamrotałyśmy więc ciągle wbijając sobie w głowę: „Poniatowski sunął do Żytyńskiej, Bychowiec do Bohowitynianki, Roztworowski do Żukówny, Wierszuł do Skoropadzkiej, Machnicki do Zawiejskiej”. I rzeczywiście, pytaniem na ten temat dałyśmy wujowi łupnia.

Dwa tygodnie obkuwałyśmy się, jakby do jakiegoś straszliwego egzaminu, przesiadując całe dnie na werandzie, obłożone książkami i notatkami.

Wreszcie nadszedł wielki dzień i turniej zaczął się. Żanina notowała punkty. Wuj był po jednej stronie, my z Aliną po drugiej. Szala zwycięstwa zupełnie nie chciała się przechylić na żadną stronę. Bo jak przychwyciliśmy wujka na naszych najbardziej chytrych pytaniach, to nie potrafiliśmy odpowiedzieć na to, w którym roku ożenił się ojciec Heleny i z kim. Szliśmy podczas tego turnieju, jak to się mówi: łeb w łeb. Było to bardzo denerwujące... W końcu pozostało nam już według ustalonych reguł turnieju tylko jedno pytanie, które miało paść z naszej strony i zadecydować ostatecznie o wygranej. Pomimo że miałyśmy jeszcze przygotowane ze dwie przemyślnie pułapki, zdenerwowałam się i zadałam bardzo dziwne pytanie.

- A na której stronie Skrzetuski częstuje przednim łubniańskim trójniakiem?

Wuj wytrzeszczył na mnie oczy. Alina i Żaninka wybuchnęły śmiechem, a ja zaczęłam prędko wołać:

- Największy sienkiewiczolog pograżon, bo każdy przecież wie, że na sto trzydziestej trzeciej! Żanina, zapisuj nam punkt!...

Tu rzuciłam się na wujka ścisnąć go i całować, a on opędział się i wołał:

- Puszczaj, chamie. Daruję cię zdrowiem!

Wielki turniej sienkiewiczologowski zakończył się więc w sposób niezdecydowany. My twierdziłyśmy, że wygrana jest po naszej stronie, a wuj dowodził, że jesteśmy na remis i że ostatnie pytanie było bezczelne.

Po tym turnieju przystąpiłyśmy z Aliną do następnego punktu programu wakacyjnego, czyli do zamierzonego rozczytania Żaninki po naszymu.

Otwierałyśmy przed nią nowe horyzonty z lekkim niepokojem, ponieważ wuj poza swoim zamiłowaniem do Sienkiewicza usposobienie odziedziczył zdaje się po Opacie z *Krzyżaków*. Często nie wiadomo było, co przestanie mu się podobać i kiedy z bardzo dobrego i miłego wujaszka wyskoczy, jak diabeł z pudełka, złośnik i kłótnik. Kiedy więc wybuchała niespodziewanie jakaś rodzinna awanturka, chwytałyśmy książki i uciekając do ogrodu lub w pole zawodziłyśmy na głos:

Hej, hej!

Tuhaj - bej

Rozserdywsia duże!...

Wuj, gdy mu pierwsza złość z krzykiem spłynęła, robił się natychmiast okropnie dobry i ze skóry wychodził, żeby wynagrodzić urojone krzywdy. Wówczas starałyśmy się znaleźć blisko niego, bo zabierał nas na hulankę do miasta, czyli na lody i do kina.

Bardzo lubiłyśmy te wypady z wujkiem, bo wtedy maszerując do miasta te cztery kilometry ogromnie się miło z nim rozmawiało.

Kiedys na przykład zwierzył nam się z wielkiego strapienia. Otóż jest miejsce w *Panu Wołodyjowskim*, którego wuj nie rozumie i nikt mu wyjaśnić nie potrafi.

- Gdyby Sienkiewicz żył, napisałbym do niego z prośbą, żeby mi wytłumaczył, co to znaczy.

- A które to miejsce, wujku? - pytałyśmy zaintrygowane.

- Wtedy, gdy Charłamp przynosi Kmicicom wiadomość o śmierci Anusi Borzobohatej. Mówi on tam w jednym miejscu tak: „Świdorski był wielki żołnierz... Niech go tam Bóg sędzi!...” I ani przedtem, ani potem nic o tym tajemniczym Świdorskim nie jest napisane. Więc co to był za Świdorski?

Potakiwałyśmy głowami, nie znajdując żadnych możliwości wykrycia, o co chodziło Sienkiewiczowi ani pocieszenia wujka w tym wielkim strapieniu.

Kochałyśmy bardzo naszego sienkiewiczologa, ale i trochę bałyśmy się go. Ażeby więc nie kusić licha i nie narazić się wujkowi, zabawiłyśmy się tych wakacji w doktora Jekylla i Mister Hyde'a Stevenson'a, czyli jedne książki czytałyśmy z Żaninką zaszyte w ogrodzie, gdzie najęśniej rosły maliny - inne oficjalnie na werandzie. To podwójne życie bardzo nam się podobało i dawało świetne rezultaty.

Na przykład: w malinach czytałyśmy *Kochanka Lady Chatterley* Lawrence'a albo *Kult ciała* Srokowskiego, a na werandzie *Pamiętnik Wacławy* i *Nad Niemnem Orzeszkowej*.

I wilk był syty, a kozie nic złego się nie przytrafiło.

Wuj w każdym razie nie wybuchał. Któregoś dnia tylko stwierdził, że czytamy trochę za dużo i że byłoby dobrze, żebyśmy zainteresowały się gospodarstwem.

Więc Alina znudzona już trochę jednostajnością naszego bytowania zaczęła się interesować... Ale okazało się, że nie gospodarstwem, tylko chłopcem, który pracował u dziadków w ogrodzie i na dwumorgowym kawałku pola.

Młodzieniec nazywał się Jasiek Gulbas i był nawet dość przystojny i miły. Alina, jak to Alina, umyśliła sobie, że akurat Jasiek jest jakby stworzony do odegrania roli Jana Bohatyrowicza. Sama wyznaczyła sobie naturalnie rolę Justyny i zaczęła, się pętać koło chłopaka. Sytuacja wytworzyła się dość śmieszna, bo Jasiek był okropnie nieśmiały i te względy, które Alina zaczęła mu okazywać, tylko go przerażały. Doszło do tego, że gdy ją zobaczył, ciskał robotę i panicznie uciekał, ażeby się gdzieś schować i uniknąć rozmówek, których ani nie rozumiał, ani nie pragnął.

Pękałyśmy ze śmiechu z Żaniną obserwując te nieudane zaloty Aliny.

Któregoś dnia, gdy Alina na próżno rozglądała się za Jaśkiem, ażeby go dalej uwodzić, Żanina podniosła głowę znad książki i powiedziała zupełnie jak ciocia Makowiecka z *Pana Wołodyjowskiego*:

- Daj mu spokój, Alina! Gulbas jeszcze woli bożej nie czuje; ty więcej, ale Gulbas chyba

jeszcze nie!...

XII. VIVAT! FLOREAT!

Maturę jakoś odwaliliśmy i byliśmy już nareszcie dorosłymi pannami. Powstało wtedy w rodzinie zagadnienie: co dalej?

Ojciec zwołał wielką konferencję rodzinną, od razu na gorąco, tego samego dnia, kiedy przyniosliśmy ze szkoły owe doniosłe dokumenty zwane „świadectwami dojrzałości”.

Nasza czwórka zasiadła dookoła stołu, każdy na swoim zwykłym miejscu, jak do posiłku. Wszyscy byliśmy rozśmieszeni, bo brakowało nam nakryć i nieodzownych książek przed talerzami. Ale jak konferencja, to konferencja. Rozpościerał się więc przed nami goły blat stołu, który nastrojał jakoś uroczyście.

Ojciec zagał zebranie krótkim a węzłowatym przemówieniem. Oznajmił, że jest zupełną niemożliwością finansową posłać nas obydwie na uniwersytet. Proponuje takie rozwiązanie: jedna z nas będzie wraz z Ojcem pracowała na dom, utrzymanie i studia siostry przez cztery, pięć lat, dopóki ta nie zdobędzie stopnia naukowego. Potem nastąpi zamiana. Ta co pracowała, pójdzie się uczyć, a ta co się uczyła, pójdzie do pracy, ażeby spłacić siostrze dług.

- To są tylko moje propozycje - zakończył. - Nie decydujemy w tej chwili. Macie całe lato na przemyślenie swoich planów życiowych, bo zapracowałyście na wesołe wakacje, moje panny córki. Na tym proponuję konferencję zakończyć. Trzeba już zabrać się do szykowania na wielki bal maturalny. Przypuszczam, że dużo dziś na to straciecie czasu, bo jesteście już dorosłymi pannami i wolno wam, jak księciu Bogusławowi, „włosy żelazkami przypiekać, dziwne z nich czyniąc fintifluski”.

Poderwałyśmy się od stołu, dyskusji żadnej nie wszczynając poza wyrażeniem zgody na propozycje Ojca w formie:

- Prawdu każe!

Odnosiło się to raczej do naszych planów ubierania się i wypiękniania na bal niż do pierwszej części przemówienia Ojca.

Wszystko to, co Ojciec projektował w tej właśnie pierwszej części, było bardzo rozsądne. Ale te plany rozbiły się z powodu braku takiej córki, która by chciała pójść na uniwersytet. Przecież dlatego tylko obsuwałyśmy się do matury, żeby nareszcie położyć kres temu wiecznemu uczeniu się. Tą kropką nad „i” była właśnie matura. A tu znowu chca, żebyśmy zaczynały od początku.

Alina dowodziła i we mnie wmawiała, że to ja jestem zdolniejsza i mądrzejsza, więc że to ja powinnam się dalej uczyć. Ale nie ma głupich! Zawsze chciałam tak żyć jak Mizia z Lusią. Zwyczajnie. Pójść do biura, odbębnić te siedem godzin, a potem mieć czas na książki, kino i teatr. A perspektywa własnych pieniędzy też nie była do pogardzenia.

Toteż spierałyśmy się przez całe wakacje, a jesienią pognałyśmy obydwie do głowy naszej

skarbowej rodziny, czyli wujka Lewińskiego, prosząc go o posady dla nas obydwóch.

Wuj napracował się bardzo ciężko, zanim załatwił to dla nas.

Nawet nie myślałam, że to takie trudne i skomplikowane. Zawsze wydawało mi się, że tylko w dzieciństwie i młodości ma się kłopoty.

Wyrobienie nam posad uchyliło mi trochę rąbka tej skomplikowanej maszyny, która nazywa się życiem, bo trudności były takie, że żadnej z nas nie mógł wuj umieścić ani w tym biurze, gdzie pracował sam, ani w tym, gdzie Ojciec, ani tam, gdzie stryj Olek, ani tam, gdzie było już dwóch kuzynów, ani tam, gdzie Mizia, ani tam, gdzie Lusja. Zresztą one od razu zaczęły wrzeszczeć, żeby nas, tam gdzie są one, nie dawać, „bo z takimi wariatkami”... i tak dalej, i tak dalej... Tu następowały rodzinne określenia charakterów, zupełnie pozbawione taktu i umiaru. W wolnych od naszej rodziny urzędach to znowu wuj nie był w zgodzie z kierownikami. Tak że początek szedł po grudzie. W końcu jakoś się udało. Alinę upchnął wuj do jednego z urzędów skarbowych, a mnie „na zamianę” do magistratu. „Na zamianę”, to znaczy że mnie zaprotegował ktoś do magistratu w zamian za protekcję wujka dla kogoś w skarbowości.

W listopadzie byliśmy już obydwie urzędniczkami, pełnymi zachwytu i wdzięczności dla wujka Lewińskiego. Uważaliśmy, że za te starania dla nas należy mu się order.

I to był bardzo śmieszny zbieg okoliczności, ale rzeczywiście w dwa miesiące po załatwieniu nam posad podczas wielkiej uroczystości w ministerstwie przyszpilono wujkowi na piersi wielki medal. Inna rzecz, że takich samych medali rozdano tego pamiętnego dnia w ministerstwie około pięćdziesięciu sztuk. Niemniej w rodzinnej solidarności puchliśmy z dumy.

Wieczorem odbył się u wujostwa Lewińskich wielki bankiet. Stół ugiął się od wykwinnych przysmaków przygotowanych przez ciotkę. Z początku było niezwykle wytwornie, uroczyście i sztywno. Byliśmy z Aliną bardzo dumne, że i nas wujostwo zaprosili. Wystrojone w nowe eleganckie sukienki, kupione już za własne pieniądze, starałyśmy się zachowywać jak dorosłe panny i obiecywałyśmy sobie po tym bankiecie wiele uciechy. Ale gdy opanowałam pierwszy atak nieśmiałości i uważniej rozejrzałam się po twarzach skupionych dookoła stołu, stwierdziłam, że poza trzema starszymi panami z brzuszkiem i łysinami, reszta biesiadników to nasza kochana rodzina skarbowa. Bardzo się z tego ucieszyłam. Resztki wytwornego przymusu i nieśmiałości opuściły mnie i mogłam swobodnie rzucić się na zakąski, które jak zawsze u ciotki Lewińskiej były wyśmienite.

Te rozkosze przerwały mi toasty wznoszone na cześć wujka.

Więc najpierw mówił pan z łysiną i brzuszkiem, długo i nadzwyczaj wymownie.

Potem mówił pan z brzuszkiem i łysiną też długo, ale trochę mętnie. Wobec tego zabrałam się do zakąsek, ale straszliwa sójka w bok, którą dostałam od kuzyna z izby, siedzącego koło mnie, oznajmiła mi, że popełniłam jakieś okropne towarzyskie faux pas.

Potem przemawiał drugi kuzyn z izby - na szczęście krótko. Myślałam, że już się nareszcie skończą te „dobrze brzmiące grzeczności” (jak by powiedziała Helena Mniszkówna), gdy nagle o mało nie spadłam z krzesła, bo Alina, ledwie kuzyn skończył, wstała i rozpoczęła czwartą przemowę w sposób następujący:

- Mości Panowie! Choćby kto w niezbrodzonym chciał prawdziwą utopić zasługę oceanie albo niebotycznymi przysypał je Karpatami, przecie ona, jakoby oleju przyrodzenie mając, na wierzch wypłyńie, spod ziemi się wydobędzie, ażeby do oczu ludzkich powiedzieć: „Jam jest, która się światła nie wzdragam, sądu nie lękam, nagrody czekam”. Ale że jako drogi kamień w złoto, tak cnota w modestię powinna być oprawiona, przeto pytam was, mości panowie, stojąc tu przed wami: Zali się wuj ze swymi zasługami nie krył? Zali się przed wami chwalił? Zali o tę godność, którą go dziś ozdobili, tentował? Ministrowie sami zasług wuja dopatrzyli i wobec tego my wnosimy teraz toast: Vivat! Floreat! Multiplicat!”

Wszyscy wybuchnęli śmiechem i zaczęli klaskać. A Sienkiewicz pewnie się w grobie przewracał, że cały splendor tej przepięknej mowy Alina sobie przywłaszczyła i jego kosztem zdobywa sukcesy towarzyskie.

A potem to jedliśmy i pili, pili, i jedli, żeby zrobić też przyjemność i ciotce.

Kiedy już nie mogłam oddychać z przejedzenia i znów bystrzej rozejrzałam się po biesiadnikach, spostrzegłam, że tych trzech starszych panów już nie ma i jesteśmy tylko „en familie de skarbowa”. I do końca już tego przyjęcia:

każdy wrzeszczał o czym innym,
jak zwykle w życiu rodzinnym.

XIII. ALINA I BALLADYNA

Biuro podobało mi się bardzo. Kontowałam podatek lokalowy w takiej wielkiej księdze przez cały miesiąc. A po miesiącu podliczałam już nie kolumny, ale kolumnady cyfr. Przy tej okazji zgłębiałam tajemnice maszyn do liczenia oraz liczydeł, które jak kastaniety coraz szybciej klaskały pod moją ręką.

A cały dowcip mojej roboty polegał na tym, żeby zapiski z miesiąca zgodziły się, czyli zbilansowały. Przypominało to taki wielki pasjans, który układa się przez cały miesiąc, z myślą przewodnią: wyjdzie czy nie wyjdzie?

Zwykle nie wychodził.

I wtedy zaczynał się romans kryminalny, gdzie zataił się przestępca, czyli błąd, zwany też bykiem. Następowala zatem wielka batalia pod tytułem „polowanie na byka”. Brało się dowody wpłat z całego miesiąca i przeprowadzało wnikliwą operację punktowania, stawiając delikatne ptaszki przy cyfrach sprawdzonych i nie budzących już żadnych zastrzeżeń. Te „punkcje” były bardzo irytujące, bo gdy zaczynałam sprawdzać od początku miesiąca, to błąd był w dwudziestym ósmym dniu, a gdy chciałam przechytryć los i następnego miesiąca zaczęłam od końca, to właśnie byka znalazłam w szóstym dniu. Czyli i tak i tak zawsze trzeba było sprawdzać całą miesięczną robotę.

To wszystko zajmowało mi siedem godzin dziennie. Z początku trochę było ciężko wysiedzieć bez przerwy tyle godzin, bo nie było przerw, tak jak w szkole, podczas których można było polatać, powrzeszczeć, i odsapnąć od rzeczy ważnych i mądrych. Ale potrzeba jest matką wynalazków. Gdy więc siedzenie na miejscu stawało się już nie do wytrzymania, łapałam jakiś pierwszy z brzegu papierek i z miną zaaferowaną leciałam przed siebie, po korytarzach, piętrach i scho dach. Warszawski magistrat na placu Teatralnym był ogromną machiną i korytarze i schody ciągnęły się w nim kilometrami. Można tam było spotkać całe masy innych urzędników też z papierkami pędzących przed siebie.

Za te figle z lokalówką przynosiłam do domu co pierwszego okropną furę forsy. Tak mi się w każdym razie z początku wydawało. Jedną połowę poborów oddawałam Matce, a druga połowa należała do mnie.

Myślałam, że za te pieniądze kupię cały świat. A więc elegancko się ubiorę, będę chodzić po kawiarniach, kinach, teatrach, dansingach, kupię nowe meble do naszego pokoju, patefon, śliczne płyty, nowe radio, no i przede wszystkim masy książek...

L'appetit vient en mangeant.

A tymczasem okazało się, że jak kupiłam dla wujka dobrodzieja od rodzinnych posad wytworny neseser, to nie starczyło pieniędzy na książki, a jak kupiłam kieckę, to nie starczyło na

teatru. Jak dwa razy zaprosiłam całą rodzinę do teatru i po przedstawieniu na wykwintną kolację, to nie tylko nie starczyło mi na buty ale jeszcze narobiłam długów.

Ale te kłopoty nie były znowu takie straszne. Osładzała je „wolność” popołudniowa. Żadnych lekcji ani wypracowań, ani wkuwań słówek. Można było czytać i robić to, na co się miało ochotę.

Aliny pierwsze wrażenia z biura były podobne do moich, z tą różnicą, że z miejsca miała gromadę wielbicieli i wiele przyjaciółek. Ci jej wielbiele trochę za często przychodzili do nas i przesiadywali w naszym pokoju. Męczyło mnie to bardzo i zaczęłam na Alinie uprawiać lekki szantaż. Jak przyszli, siedziałam z tak ponurą miną, że peszyłam całe towarzystwo. Alina więc proponowała mi, żebym w te dni gdzieś sobie wychodziła: na przykład do kina.

- Do kina nie pójdę, bo wiesz, że każdą złotówkę odkładam na patefon - odpowiadałam chytrze.

Wzdychając ciężko Alina sięgała do torebki, dawała mi na kino i kupowała sobie nasz pokój na całe popołudnie.

Gdy był dobry film, to szłam do kina. Gdy miałam ochotę na gadanie, to szłam do Reni, a jeśli miałam jakąś dobrą książkę, to szłam do Lusi i Mizi i u nich w spokoju ducha oddawałam się rozkoszy czytania, dokładając wydarte Alinie pieniądze do oszczędności odkładanych na patefon.

Tak przeszła zima.

Ja nie miałam żadnego powodzenia, ale jakoś nie martwiłam się tym. Dopiero wczesną wiosną przytrafiło mi się coś, co można by nazwać nareszcie sukcesem, gdyby nie trwało jedną dobę.

Miał na imię Wiktor.

Był wysoki, zgrabny, bardzo przystojny, o niesłychanie porywającym uśmiechu. Wszystkie baby w magistracie wodziły za nim zachwyconymi oczami. Ja też. Bo przyjemnie było patrzeć na tego chłopaka. Osobiście go nie znałam.

Ale przyszedł kiedyś piękny dzień, gdy wychodząc z któregoś pokoju wpadł na mnie podczas mojego zwykłego biegu na przełaj po magistrackich korytarzach.

Uśmiechając się pięknie przeprosił, przedstawił się i o radości: zapytał, co robię dziś po południu. Powiedziałam, że nic specjalnego. Wtedy poprosił, żebym z nim poszła na spacer, bo już jest przedwiośnie i bardzo pięknie na świecie. Naturalnie zgodziłam się z zachwytem.

O czwartej spotkaliśmy się i wyruszyliśmy na „spotkanie wiosny” - jak to pięknie określił.

- A gdzie ją spotkamy? - zapytałam, mając na myśli albo Łazienki, albo park Skaryszewski.

- W Wilanowie! I pójdziemy tam piechotą - powiedział uśmiechając się tak promiennie, że zgodziłabym się maszerować nawet do Rypina.

Jednakże w połowie drogi miałam już pęcherz na pięcie i mój entuzjazm gdzieś się ulotnił.

W parku wilanowskim nosiło pana Wiktora po wszystkich alejkach. Bohatersko uśmiechnięta z rozpaczą w sercu i palącym bólem w pięcie, do którego nie przyznałabym się za żadne skarby, latałam z nim razem. Nieszczercze udawałam zachwyt nad krzaczkami, drzewkami, kolorami nieba - marząc o fotelu w naszym pokoju i, naturalnie, o zostawionej tam książce.

Nieszczęścia idą zawsze stadami.

Gdy zaczęło szarzeć, na niebo wytarabanił się pyzaty księżyc, który wprowadził w ekstazę pana Wiktora.

Stwierdził on, że w taki wieczór, przy takim księżycu, byłoby grzechem wracać do Warszawy tramwajem.

Myślałam, że umrę na miejscu.

Ale okazuje się - człowiek ma bardzo twarde życie. Nie umarłam i dowlokłam się wreszcie do domu. Wiktora przeklinałam w duszy, ale rolę swoją zagrałam do końca widocznie aż za dobrze, bo żegnając się ze mną przed bramą powiedział:

- Z panią się świetnie chodzi. Jutro pójdziemy na Bielany. Musimy wykorzystać ten piękny księżyc.

- Bardzo chętnie - odpowiedziałam przez zaciśnięte zęby. - Ale jutro niech pan po mnie wstąpi do domu. Już pan wie, gdzie mieszkam.

Przez podwórko i schody szłam zdaje się na czworakach.

Na drugi dzień nie poszłam do biura. Żaden but mój ani Aliny, ani Matki nie dawał się wcisnąć na moją poranioną nogę. Mogłam co prawda pójść w butach Ojca, ale nie lubię przesady.

- Panas Kmitas, nareszcie do Dyny - mruczał tryumfalnie Ojciec pod nosem idąc otworzyć drzwi gdy o godzinie czwartej zjawił się Wiktor, czarujący, uśmiechnięty i pełen ochoty do pozerania kilometrów i włączania się gośćmińcami.

Jego żywotność wydała mi się obrzydliwa i za bardzo męcząca. Wobec tego najspokojniej oznajmiłam mu o poważnym stanie mojej pięty. Widziałam, jak zainteresowanie i sympatia jego dla mnie zgasła w jednej chwili. Utkwił pytający wzrok w Alinie i po piętnastu minutach rozmowy okazało się, że Alina pragnie lecieć na Bielany. Pobłogosławiłam ich na drogę i zostałam w miękkim fotelu z *Colasem Breugnonem*.

Czytałam tę książkę już dawniej, ale byłam wtedy za młoda, żeby ocenić wszystkie jej uroki. Toteż szybko tak się zaczytałam, że jak zawsze przy każdej dobrej książce ja jako ja przestałam dla siebie istnieć.

Z tego zatracenia się w *Colasie* wyrwało mnie niespodziewane wejście Ojca do naszego pokoju. Kręcił się jakoś dziwnie. Otworzył Miesiąc Zatajony. Szklanym wzrokiem zlustrował grzbiety książek, potem podszedł do okna i niewidzącymi oczami patrzył na podwórko. Widziałam, że coś go trapi, że chce ze mną o czymś pomówić, tylko nie wie, jak zacząć. Więc zaczęłam ja.

- Jaka imia ty chodzić dookoła mnóstwo za bardzo, jak duch Banka? - zapytałam.

Ojciec uśmiechnął się, westchnął, spojrział na mnie badawczo, aż wreszcie powiedział:

- Czy przypadkiem nie siedzisz tu jak Skrzetuski na ruinach Rozłogów?

Roześmiałam się serdecznie.

- Jesteś bardzo kochany, że ci to przyszło na myśl i że się tym interesujesz. Żelazo nie rozdarło mojej duszy i jak dotychczas nie posiadam cmentarza pogrzebanych nadziei - jakby powiedziała Ania z Zielonego Wzgórza. Wiktor jest uroczym młodym człowiekiem, ale ci powiem w zaufaniu, że to „smok nie chłop” - Ja jestem za wygodna. Niech „tego Ketlinga Krzysia bierze” albo Alina. Mnie tu lepiej z *Colasem*.

- To świetnie - ucieszył się Ojciec. - Bo tak mi było jakoś nieprzyjemnie, gdy oni razem polecieci, a ty zostałam sama. A jak tak - no to pysznie... *Colasa* czytasz?... Jak skończysz, ja go wezmę. Wiesz? Czytam teraz jednocześnie *Ziemię Zoli* i *Chłopów* Reymonta. Bardzo ciekawie wychodzi porównanie tych dwóch książek. No to nie przeszkadzajmy sobie. Spotkamy się przy kolacji. Pa!

Dobroć Ojca wzruszyła mnie. Posiedziałam jeszcze chwilę rozmyślając z czułością o Ojcu i wróciłam do *Colasa*. Lecz już nie zaczytywałam się bez reszty. Co jakiś czas spoglądałam na zegarek i zastanawiałam się, jakiej wielkości są w tej chwili pęcherze na piętach Aliny.

Ale Alina wróciła z piętami zdrowymi, natomiast z sercem w kawałkach.

To że Wiktor zdobył jej miłość, to jeszcze można było darować, ale wkrótce pełno go było także w naszym mieszkaniu i naszym życiu.

Ojca oczarował powiedzeniem, że ciotka Lewińska w nowym kapeluszu wygląda jak Kunigas. Rzeczywiście można się było dopatrzeć podobieństwa jej w tym modnym nakryciu głowy do jednej z ilustracji Andriollego.

Matkę zachwycił tym, że nie tylko Alinę, ale cały nasz dom zaczął wyciągać na spacer i wycieczki.

- Nareszcie prowadzimy zdrowy tryb życia - twierdziła.

Kiedyś na całą niedzielę wywłókł nas do Puszczy Kampinoskiej. Naturalnie poza jajkami na twardo i innymi wycieczkowymi smakołykami zabraliśmy książki.

A potem to się nagle okazało, że w naszym obozowisku siedzi Tata, Mama i ja, i że jesteśmy zaczytani każdy w swojej książce, a młoda para gdzieś się ulotniła.

Matka, jak to Matka. Nie była z tego zadowolona, więc powiedziała do mnie:

- Gdzie twoja siostra? Idź jej poszukać.

Za pierwszymi krzaczkami natknęłam się na Alinę i Wiktora, jak całowali się zapomniawszy o bożym świecie.

Wobec tego wycofałam się na palcach i wróciłam do rodziców i do książek.

- Gdzie twoja siostra? - podjęła na mój widok Matka.

Gdzie moja siostra? musiała na prawo

Pójść i napełnić malinami dzbanek;

A ja wśród jagód chodzę obłąkana

Jakaś rozpaczą i łzy gubię w rosie

odpowiedziałam słowami rzeczywistej Balladyny. No bo co? Czyż miałam powiedzieć, że za krzakami Alina całuje się z Wiktorem?

Ojciec aż położył się na ziemi z uciechy i od tego dnia Wiktora nazywał rodzinnym Kirkorem.

XIV. TRĘDOWATA PO RAZ DRUGI

Wielka miłość wymaga zawsze wielkich poświęceń.

Alina przeżywała wielką miłość, a ja musiałam się poświęcać.

Szarugi jesienne i ślizgawice zimowe zahamowały w Wiktorze skłonności do latania po szosach. Przychodził stale po południu i przesiadywał w naszym pokoju. Niepodobieństwem było wytrzymać z nim i z Aliną w czterech ścianach. Bez przerwy mówili o miłości.

Niezainteresowanemu robiło się od tego niedobrze.

Wobec tego zaraz po obiedzie zabierałam książkę i wynosiłam się do Mizi i Lusi. Ich spokojne staropanieńskie bytowanie bardzo mi odpowiadało. Nigdy nie nudziłyśmy się. Popołudnia spędzałyśmy zwykle następująco: jedna czytała głośno jakąś książkę, druga cerowała pończochy, trzecia stawiała pasjansę. Wychodziłam od nich zadowolona, w poczuciu mile spędzonego czasu.

Regularnie co tydzień przychodził z wizytą pan Stanisław Stolarczyk - obecnie naczelnik wydziału w ministerstwie skarbu i jak ongiś kawaler do wzięcia.

Ojciec, nazwawszy go przed laty Barkisem, zapeszył zdaje się jego życie erotyczne. Przez parę lat „miał zamiary”, czyli „był gotów” ożenić się z Mizią, ale jakoś nic z tego nie wyszło. Potem „miał zamiary” i wyraźnie asystował Lusi, ale też bez efektu. Zeszłej zimy obtańcowywał na zabawach skarbowych Alinę i patrzył na nią zachwyconymi oczyma. Gdy Alina zlikwidowała ilość na korzyść jakości (czytaj: jeden jedyny, wybrany Wiktor), wrócił do ciotek, jak kot, który przywiązał się nie tyle do osób, ile pewnie do mieszkania.

Pomimo tych zahamowań i niezdecydowania w życiu uczuciowym na szczeblach kariery urzędniczej, jak przewidział wuj Lewiński, zrobił rzeczywiście wielką karierę i zostawił daleko za sobą nawet wujka.

Ciotka Lewińska ze skóry wychodziła, żeby teraz mnie na niego namówić.

- Tylko się mądrze weź do rzeczy. On jest nieśmiały. Lusie i Mizie pokpiły sprawę, bo czekały, żeby on się zdeklarował, a tu trzeba by jego podprowadzić. Rozumiesz? Czeka cię wspaniałą kariera. A jakież to byłaby wygoda dla nas wszystkich mieć naczelnika wydziału w rodzinie.

Ale ja nie chciałam ani żeby on, ani żeby jego podprowadzać. Barkisa - Połanieckiego (bo tak go między sobą nazywałyśmy) dość lubiłam. Pasował do naszego spokojnego, pozbawionego wstrząsów i namiętności żywota. Na męża jednak czy amanta nie nadawał się zupełnie.

Piastowałam przecież w sercu swój ideał, który próbowałam dopasować do różnych znanych mężczyzn. Jednakże przy tej operacji żywi ludzie okazywali się tak mali, śmieszni, nieinteresujący i nudni, że wolałam wracać do książek, do moich ukochanych bohaterów i nie tracić czasu na próżno.

Jedynym mężczyzną, który naprawdę mi się podobał był Wiktor, ale tylko wtedy, gdy siedział spokojnie na krześle i mówił o rozsądnych sprawach i książkach, bo o książkach można było z nim ciekawie pogadać. Cóż z tego? Te chwile zdarzały się bardzo rzadko. Przeważnie albo gdzieś leciał, albo skądś wracał, albo projektował następną włóczęgę i obmyślał dla niej trasę. Byłam więc zaledwie w jednej setnej Balladyną, jeśli idzie o tego rodzinnego Kirkora. I często współczułam Alinie, aczkolwiek ona w tym okresie zaślepiona wcale mego współczucia nie potrzebowała.

Tej więc zimy, gdy Wiktor wysiadywał dziury w moim fotelu, marząc z Aliną o łodziach wiosłowych, łodziach żaglowych, namiotach, przygodach i innych okropnie męczących rzeczach - ciotki i ja przy ciepłym piecu, przegryzając sobie czekoladą w najbardziej wzruszających momentach wyczytywałyśmy wszystkie książki dla dorastających panienek. A więc: *Tajemniczy ogród*, *Małe kobiety*, *Gwiazdę przewodnią* i *Anią z Zielonego Wzgórza*.

Bawiłyśmy się królewsko.

Barkis z początku patrzył na nas jak na pomyłone, ale stawiałyśmy przed nim dobrą czarną kawę i dawałyśmy mu karty do pasjansów, żeby tylko nie przeszkadzał. Powoli tak się znarowił, że przychodził prawie co dzień, żeby go nie ominął dalszy ciąg książki, którą się zainteresował.

Z książek dla młodzieży przerzuciłyśmy się na literaturę, tak zwaną wtedy brukową. Czytałyśmy Courths - Mahlerową, Zarzycką i Barclay i też bawiłyśmy się wspaniale. W końcu przyszła kolej na królową tego rodzaju książek, czyli - na *Trędowatą*.

Doszłam do przekonania, że książka ta jest szalenie interesującym zjawiskiem na horyzoncie czytelniczym. Nie ma chyba drugiej pozycji w literaturze, która by takie harce wyprawiała z odczuciami przejmującego się czytana książką odbiorcy. Ja sama dzięki *Trędowatej* przeszłam trzy fazy, które mogłam zatytułować: Od szczytów do otchłani i od otchłani do szczytów.

Pierwsze zapoznanie się z *Trędowatą* miało przebieg podobny jak u wszystkich dziewcząt w wieku lat dwunastu - trzynastu. A więc płomienna miłość do Waldemara ordynata Michorowskiego i zalewanie się łzami, gdy Stefcia umarła. Docierała wtedy do mnie tylko melodramatyczna strona książki. Nic innego nie widziałam i na nic innego nie zwróciłam uwagi. Przez jakieś dwa lata była to najukochańsza moja książka, pomimo pokpiwań Ojca i jeszcze gorszego natrząsania się ze mnie Matki za zdenerwowanie jej w Zakopanem.

Potem przyszło opamiętanie. Zrozumiałam całą bezsens *Trędowatej*. Książka stała się irytująca i zeszła do rzędu książek kompletnie „nie czytable”. Budziła też jakiś wstyd i żal, że była dawniej książką, którą się uwielbiało i polewało łzami. O *Trędowatej* nie lubiłam rozmawiać, bo obrzydliwie było łąć i kłamać, że zawsze potrafiłam się poznać na jej bezsensie, ale jeszcze głupiej przyznać się do łez i do uwielbienia dla bohaterów. Tak więc była to przez długie lata książka

zepchnięta do otchłani i wstydliwie omijana w rozmowach.

Aż wreszcie przyszyła trzecia faza, gdy *Trędowata* dźwignęła się znów z upadku...

Zawdzięczałam to właśnie czytaniu jej wraz z Lusią i Mizią przy milczącym aplauzie Barkisa - Połanieckiego. Byliśmy w czwórkę rozbawieni, że znaleźliśmy wreszcie klucz do *Trędowatej* i odpowiednie dla niej miejsce w naszej literaturze. Otóż *Trędowatą* należy czytać tak jak Wodehouse'a, Makuszyńskiego, Tarkingtona, a radości będzie wtedy co niemiara. Współczuliśmy ludziom, którzy przez snobizm wyrzekli się raz na zawsze *Trędowatej* i omijają ich te rozkosze. Stwierdziliśmy, że bije ona na głowę nawet wszelkie parodie na swój temat. Sama dla siebie jest parodią, i to parodią niesłychanie świeżą i interesującą, bo pisaną nieświadomie i ze śmiertelną powagą.

Oczarowana *Trędowatą* i jej nowym dla mnie obliczem, natychmiast kupiłam ją i urządziłam uroczystą jej instalację w naszym Miesiącu Zatajonym, obok największych arcydzieł literatury. Ojciec, gdy to spostrzegł, zaczął wrzeszczeć, jak oparzony kot, bo myślał, że już zupełnie zgłupiałam, aczkolwiek nigdy za mądra nie byłam. Po krótkiej jednak prelekcji z mojej strony wziął *Trędowatą* do czytania i przez parę dni słychać było ryki śmiechu z jego kącika. Matka zaś poganiała go, ponieważ chciała jak najprędzej dorwać się do książki i przeczytać ją pod nowym kątem i też wziąć udział w rozkoszowaniu się Stefcia, która „biegała po lesie, unosząc się własnymi myślami” i Waldemarem, który stał „z męskim dreszczem rozkoszy” i któremu „zmysły wypełzły na usta”.

XV. PANIE OBERLEJTNANT...

Tej samej zimy tak owocnej we wrażenia literackie wątpliwej jakości, wpadłam któregoś popołudnia na ulicy na Ankę. Nie widziałyśmy się już prawie dwa lata, bo od uroczystego dnia rozdania matur. Padłyśmy sobie w ramiona z pensjonarską afektacją, pełną wrzasków, popiskiwań, podskakiwań i innych gwałtownych a radosnych odruchów, które bardzo zdziwiły zrównoważonych przechodniów. Ażeby więc dłużej nie robić na ulicy widowiska, poszłyśmy na dłuższe dziewicze zwierzenia do najbliższej kawiarni.

Atmosfera kawiarni i mocna czarna kawa rozwiązuje języki, zwłaszcza kobiece, i sprzyja intymnym pogawędkom.

Obydwie zdziwiłyśmy się i zmartwiły, że nasza zaprzysiężona w Pavoncellu przyjaźń tak jakoś się rozchwiała.

No cóż! Każda z nas powędrowała swoją drogą życiową. Zwykła kolej rzeczy. Jednakże mocne nici sympatii nie zerwały się, pomimo tak długiej przerwy w widywaniu się. Sprawilo mi to wielką radość, bo serdecznie lubiłam Ankę, a poza tym podziwiałam ją.

Wygodnie usadowione w miękkich fotelikach, w zacisznym kąciku, przy oparach czarnej kawy, ze stosem ciastek radujących oczy i podniebienie, trajkotałyśmy jedna przez drugą.

Gdy już narozkoszowałyśmy się szkolnymi wspomnieniami i gdy już wszystkie nauczycielki i profesorowie zostali obgadani, wszystkie koleżanki i zdarzenia przypomniane, co trwało przeszło godzinę, przystąpiłyśmy do rozpatrywania naszej teraźniejszości.

Anka żyła myślą o przyszłości i jej widoki oszołomiły mnie zupełnie. Była drugi rok na polonistyce, skończyła już z językiem angielskim i uczyła się obecnie rosyjskiego. Postanowiła zostać w przyszłości krytykiem literackim i ambitnie dążyła do wytkniętego celu.

- Brak u nas w Polsce specjalistów od literatury rosyjskiej - tłumaczyła mi. - Trochę Tuwim się tym zajmuje, ale robi to na marginesie swojej twórczości poetyckiej. Będę więc miała pole do popisu. Gdy już obkułam się z angielskiego, długo rozmyślałam, jaki język teraz wziąć na warsztat. Wahałam się między niemieckim a włoskim, ale w końcu zdecydowałam się na rosyjski. Przecież nasze pokolenie nie ma zupełnie pojęcia o literaturze rosyjskiej. Poprzednie pokolenie tak zniecierpliwione w rosyjskich szkołach język rosyjski, że wykreśliło literaturę prawem reakcji z naszych programów szkolnych.

- Czy aby nie przesadzasz? - przerwałam.

- Nie przesadzam! No, proszę! Powiedz mi, jakie wyniosłaś ze szkoły wiadomości o literaturze rosyjskiej i autorach?

- No! Puszkina... Dostojewski... Tołstoj... - mówiłam rozwlekłe, jakby na prawdziwym egzaminie, ażeby zyskać na czasie i jakoś coś sobie przypomnieć i wykombinować.

- Dobrze! Puszkina! Co o nim wiesz? I co on napisał?

- Zginął w niepotrzebnym pojedynku... Pisał wiersze... napisał *Eugeniusza Oniegina*.

- Co jeszcze?

- Coś tam miał z Mickiewiczem... Aha! Przyjaźnił się z nim, gdy Mickiewicz był w Rosji.

- To bardzo wiele o nim wiesz - powiedziała sarkastycznie Anka, - A co jego czytałaś?

- Ojej! Daj mi spokój z tymi pytaniami! Nic nie czytałam!

- A co czytałaś Dostojewskiego i Tołstoja?

- *Wojnę i pokój* i usiłowałam przeczytać *Idiotę*, ale jakoś nie do końca.

- Widzisz. Nie masz zielonego pojęcia o literaturze rosyjskiej. Parę nazwisk i tytułów kołacze ci się tylko w głowie. I to ty, która przecież tak lubisz czytać i ciągle coś czytasz... Co mówić o reszcie?... A czy wyniosłaś ze szkoły zachętę, ażeby sama zainteresować się i przestudiować literaturę radziecką?

- Ojej! Nie! - zawołałam już zupełnie zbита i zmaltretowana. - Ale czekaj! Mam! W *Qui Pro Quo* Lena Żelichowska deklamowała cudowny wiersz Swietłowa: *Grenada*.

Zielone oczy Anki zabłyśły i zaczęła:

I skąd do mołojca

Ten smutek hiszpański?

Kijowie! Połtawo!

Od kiedyż w te strony

Przybyły z Grenady

Hiszpańskie canzony?

Nie w twojemż to zbożu,

Ukraino, śród żniwa,

Tarasa Szewczenki

Papacha spoczywa?

Więc skąd, przyjacielu,

W piosence twej łka:

Grenada, Grenada,

Grenada maja.

dokończyłam porwana urokiem wiersza.

Anka marząco zagapiła się przed siebie.

- Wiesz... - zaczęła prawie szeptem. - Chciałabym zostać specjalistką od literatury rosyjskiej i radzieckiej, tak jak Boy Żeleński jest od francuskiej. Ale czy mi to się uda?

- Och! Uda ci się na pewno! - wykrzyknęłam pełna podziwu i zachwytu.

- Tak ci się zdaje, bo siedzisz z daleka od tych spraw. Literatura rosyjska jeszcze może przejść, ale popularyzowaniem radzieckiej utracę się, bo zaraz okrzyczą mnie komunistką i będę skończona.

- A Boya to głaszczą za jego zasługi? A Tuwim to ma lekkie życie? A na Słonimskim to psów nie wieszają? Każdy, kto się wybije ponad tłum miernot, natychmiast będzie miał masy wrogów. Tak to już jest na tym dziwnym świecie.

- A teraz ty opowiadaj o sobie. Kim obecnie jesteś i do czego dążysz? - podjęła Anka po dłuższej chwili obopólnego zamyślenia nad próbami realizacji jej planów i pragnień.

- Jestem niczym. „Niczym, drobnym insektem na kołnierzu Opatrzności” - odpowiedziałam.

- Nigdy z koturnów nie zlecę na zbity pysk, bo nigdy na nie nie wleżę... Nie patrz na mnie takim dziwnym wzrokiem, Anko. Ja parafrazuję tylko monolog Obiedzińskiego ze *Znachora* Mostowicza. Obiedziński mówi: „Nie sztuka być kimś. Sztuka być niczym”. I tę sztukę usiłuję doprowadzić do perfekcji, z całą trzeźwością, spokojem i poczuciem własnej nicości.

Anka roześmiała się.

- Przecież, o ile was dobrze pamiętam, to tylko Alina miała manię przetwarzania się w bohaterów czytanych książek. Czyżbyś i ty uległa tej chorobie?

- Nie! - odpowiedziałam. - Ale jak się teraz zastanowiłam nad sobą, to doszłam do przekonania, że niczego nie chcę, do niczego nie dążę. Po prostu - tylko jestem. Może to dziwne,

ale tak jest naprawdę i tak czuję. Słowa Obiedzińskiego przypomniały mi się, bo najlepiej charakteryzują mój stan obecny... Cóż ci mam o sobie opowiedzieć, kiedy nic się u mnie nie dzieje. Przyglądam się życiu. Nie czuję żadnego braku. Pracuję. Czytam książki i jestem bardzo szczęśliwa.

Anka pokręciła z powątpiewaniem głową, ale że ja zaatakowałam trzecią już z kolei babkę śmietankową, ona wzięła się do swojej napoleonki. Rozszczepianie włosa na czworo i grzebanie się w psychologicznych zakamarkach nie było dla nas obu za bardzo interesujące, więc ucieszywszy się, że obie jesteśmy zadowolone z życia, ona czynnie, ja biernie, przeszliśmy w naszej rozmowie do bardziej konkretnych rzeczy.

- A co teraz czytasz? - zapytała Anka.

- Ostatnio czytałam Anią z Zielonego Wzgórza, Błękitnego chłopca, Czarodziejski ogród, a obecnie czytam wraz z ciotkami Hrabiego Monte Christa - rąbnęłam najspokojniej.

Reakcja Anki była niesłychanie zabawna. Najpierw kęs napoleonki utkwiał jej w gardle, tak że musiała popchnąć go kawą, następnie wytrzeszczyła na mnie oczy, potem załamała rękę, a potem prawie że wrzasnęła na całą cukiernię:

- Wiesz, jak wyglądasz? Jak pies, który nie idzie naprzód, tylko kręci się w kółko za własnym ogonem. To przecież okropne! - dodała patrząc na mnie z politowaniem zabarwionym pogardą.

- „Nie wszyscy mogą być mądrzy, panie oberlejtant. Bo gdyby wszyscy ludzie byli mądrzy, to na świecie byłoby tyle rozumu, że co drugi człowiek zgłupiałby z tego” - odpowiedziałam jej słowami Szwejka. - Poza tym, Anko, głupota jest taka przyjemna - roześmiałam się.

- Jak można żyć i upierać się przy świadomej głupocie i nie pracować nad sobą - niecierpliwiła się Anka. - Czy nie czytasz już prawdziwych książek? Czy nie czytałaś Prousta, du Garda?

- Nie tylko czytałam, ale i przeczytałam. A czy ty czytałaś kryminały Wallace'a? - zapytałam rozeźlona, patrząc Ance prosto w oczy.

- Czytałam i czytam wszystkie, jakie wychodzą - odpowiedziała trochę niepewnie Anka.

- No właśnie - zamknęłam dyskusję i zabrałam się spokojnie do tortu kawowego.

- Chodzi mi przecież tylko o to - zaczęła znów Anka - że wobec tych mas książek, jakie każdy miesiąc nam przynosi, kręcisz się jak pies za własnym ogonem i tracisz czas na czytanie Barclay i Dumasa.

- Nie uważam tego czasu za stracony - odpowiedziałam z godną miną. - Czytając te książki bawiłam się wspaniale. I powiem ci, że bardzo wiele osób czyta takie książki lub tak jak ty - kryminały, których ja osobiście nie znoszę, ale robią to chyłkiem, późnym wieczorem, przy

szczelnie zamkniętych drzwiach i zasłoniętych oknach. Dyskusję zaś prowadzą o Proustach, Mannach i nie ma takiej siły, która by ich zmusiła do przyznania się z otwartą przyłbicą, że szmiry lub kryminały czytają i jakieś satysfakcje, takie czy inne, z tej lektury wynoszą.

- Może... - przyznała ociągając się Anka.

- Nie może, ale na pewno. A widzisz, ja jestem sobie zwyczajną urzędniczką, bez żadnych ambicji życiowych i stać mnie na to, ażeby, gdy podoba mi się akurat *Trędowata*, przyznać się do tego głośno!

Anka roześmiała się.

- Wiesz, za co cię lubię? - zapytała.

Ponieważ nie wiedziałam, więc dokończyła z serdeczną, jak na możliwości jej oschłego serca, miną.

- Za twoją głupotę życiową.

- No to żeby cię utwierdzić jeszcze bardziej w twoim mniemaniu - powiedziałam, rycząc z radości - przyznam ci się, że płonę teraz wielką i gorącą miłością do Hrabiego Monte Christo. Bo, jak powiedział Galsworthy w *Sadze*: „Jeśli się już jest głupcem, to nic nie szkodzi, że stuprocentowym”.

XVI. LONDON

Dopiero, gdy zajaśniało pierwsze wiosenne słońce, okazało się, co przez zimę robili Wiktor z Aliną w naszym pokoju, poza całowaniem się i rozmawianiem o miłości.

Ktoś niewtajemniczony, gdyby dowiedział się, że przeczytali całego Londona, mógłby z czystym sumieniem stwierdzić, że spędzali czas cnotliwie i że najbliższa rodzina nie ma najmniejszego powodu do niepokoju.

My jednak znając Alinę od dziecka denerwowaliśmy się bardzo. Zawsze mieliśmy nadzieję, że Alina trafi w życiu na statecznego, zrównoważonego człowieka, który trochę przyhamuje jej wybujały temperament. Niestety! Wiktor był taki sam jak ona; albo jeszcze gorszy.

W końcu zimy wydało się, że ukochany kupił żaglówkę, a Alina zadłużona jest po czubek głowy. W sportowych sklepach kupowała na raty śpiwory, namiot, patelnie składane i tym podobny sprzęt wycieczkowy. Ta Wiktora żaglówka też była na raty.

Kupowali „na borg, ne za to szczo je, ale za to szczo bude”, jak Kozacy siczowi z *Ogniem i mieczem*, i chodzili teraz po Warszawie oboje ubodzy jak nędzarze. Do kina musiałam ich zapraszać i za nich płacić, bo nie mieli przy sobie ani grosza.

Każdego pierwszego po otrzymaniu poborów oboje zajmowali się tylko transportem pieniędzy. Połowę odnosili do domów na utrzymanie, resztę Wiktor zanosił do poprzedniego właściciela żaglówki, a Alina do sklepów sportowych.

Matka łamała ręce na taką lekkomyślność i irytowała się na Ojca, że przygląda się temu spokojnie. Ale Ojciec twierdził, że wcale się spokojnie nie przygląda, tylko obserwuje i świetnie się bawi. Poza tym w naszym małym mieszkaniu nie można się było już ruszać. Wszystkie kąty zavalone były tymi rupieciami i nierzadko po otwarciu szafy z wielkim brzękiem leciały na podłogę patelnie, menażki i inne bardzo hałasujące przedmioty.

Żaglówka, miała być gotowa dopiero na koniec czerwca, bo szpachlowanie, wzmacnianie masztu, malowanie i jeszcze inne hokusy - pokusy nie mogły być wcześniej zrobione. Na razie więc Alina i Wiktor rzucili się na wiosłowanie. Zapisali się do klubu i całe popołudnia spędzali na Wiśle, jak galernicy. Ręce Aliny pełne były pęcherzy i odcisków.

Bardzo intensywnie namawiali mnie, żebym z nimi podzieliła ten system spędzania czasu, ale byłam za wygodna i ani razu nie udało im się wyciągnąć mnie na Wisłę.

Żyjąc jednak w rodzinie trzeba się pogodzić z faktem, że wolność osobista jest teorią. Gdy przyszły dwa dni świąt i nasza młoda para oznajmiła, że wyrusza z namiotami na wycieczkę od soboty do wtorku - Matka zrobiła takie piekło w domu, że znowu musiałam się poświęcić i pojechać, ażeby ich pilnować.

A dużo ja ich upilnuję.

Ale czego się nie robi dla spokoju w domu.

Byłam wściekła, bo moje plany diabli wzięli. Miałam odespać zaległości, poprać i poprasować letnie sukienki i zrobić porządek w bibliotekach. Nareszcie miałabym choć przez dwa dni nasz pokój dla siebie.

Ale nic z tego.

Wyjechaliśmy z klubu na łodzi dwuwiosłowej z Wiktorem i jego przyjacielem Zyziem przy wiosłach, a Alina na sterze. Mnie usadowili na dziobie. Wszyscy troje byli ważni i okropnie sportowi, mnie traktowali jako narzucone piąte koło, a poza tym jak „nogę”, „pętaka” i „łamagę”. Obiecywali sobie, że dopiero podczas wycieczki zrobią ze mnie człowieka.

Jechaliśmy w górę rzeki pod prąd i to ciężkie wiosłowanie wydało mi się pracą zupełnie nikomu niepotrzebną. Do tego jeszcze spieszyliśmy się bardzo, żeby przed nocą odbić daleko od Warszawy. Co jakiś czas zmienialiśmy się przy wiosłach. ...my - to znaczy zmieniali się oni w trójkę. Ja ku mojej radości byłam za mało godna, ażeby podzielić ich galernicze rozkosze. Na razie tolerowali mnie jako gościa, ale odgrządzali się, jaką to dadzą mi szkołę w tej podróży.

Gdy zbliżaliśmy się do Helgolandu (wysepka na wysokości mniej więcej Falenicy), całe towarzystwo zdecydowało, że trzeba zrobić krótki postój. Podjechaliśmy więc do wysepki i wtedy wszyscy jeden przez drugiego zaczęli mi tłumaczyć, że teraz nareszcie zaczyna się moja rola. Bo wiosłarze wiosłują, sternik steruje, a ja, tak zwany „nos”, gdy się zbliżymy, mam z dziobu łodzi wyskoczyć z linką na ląd i przytrzymać całą arkę, żeby i reszta mogła wylądować. Bardzo chciałam zrobić tak, jak mi kazali. Wzięłam w rękę sznurek, zwany przez nich linką, i nawet - pomimo że łódź bardzo podejrzanie cbybotała się na boki - przekreśliłam się przodem do jej kierunku. Ale na razie pozostałam w pozycji klęczącej, kurczowo trzymając się burt, bo bałam się wylecieć w wodę.

Łódź stuknęła dziobem o wysoki w tym miejscu | brzeg, a że było to na silnym prądzie, natychmiast cofnęła się. Nie wykonałam więc mojego ryzykownego skoku na brzeg. Natychmiast obaj chłopcy obejrzawszy się przez ramię i widząc, że bez przerwy tkwię na czworakach, poderwali się i jednocześnie skoczyli na wyspę. Alina, która tego wszystkiego nie widziała, bo podniosła się od steru i sięgała po sweter, została nagle wyrzucona w powietrze. Skok obu chłopców zahuszał bardzo silnie łodzią zupełnie dla niej niespodzianie. Spadając, nie wycelowała z powrotem na łódź i chlupnęła w głęboką w tym miejscu wodę. Wobec tego Wiktor skoczył z brzegu na ratunek ukochanej, a Zyzio skoczył też, żeby łąpać łódkę ze mną, gdyż prąd znosił nas coraz dalej.

Gdy nareszcie wszyscy znaleźliśmy się na wyspie, cała trójka wilków morskich była skąpiana wraz z ubraniami i szczękała zębami, bo wietrzyk był chłodny. A ja - ta „noga” i ten „patałach” - byłam sucha, wesoła i uśmiechnięta.

Co Alina mówiła na mój temat, lepiej nie wspominać. Chłopcy byli dżentelmenami i usiłowali robić dobrą minę do złej gry.

Ale tego dnia nie można już było dalej jechać. Trzeba było rozpalić ognisko i suszyć poszkodowanych.

Tę noc spaliśmy w namiocie - o ile przewracanie się na twardym piachu i szukanie przez cały czas jakiejś możliwej pozycji można nazwać spaniem.

Rano wstałam obolała, niewyspana i wściekła. Nawet w normalnych warunkach budzę się rano zła na cały świat, ponura i skłonna do kłótni. Toteż nienawidzę ludzi promiennie hałaśliwych o świecie. Myślałam, że uduszę się ze złości, gdy okazało się, że Wiktor ledwo otworzy oczy, już kipi radością życia. Najpierw miotał się po obozie i grzechotał garnkami i patelniami. A potem gotując śniadanie zaczął się fałszywie wydzierać - co miało oznaczać śpiew. Ponieważ to wszystko nie wyczerpało nagromadzonej w nim energii, zaczął się przy brzegu i gdy z Aliną myłyśmy sobie delikatnie czubki nosów, zepchnął nas z szalonymi wybuchami śmiechu w zimną wodę.

XVII. LONDONIADA

O zmaganiach bohaterów Londona z wrogą człowiekowi przyrodą przyjemnie jest czytać siedząc w wygodnym fotelu, przy ciepłym piecu, z mruczącym kotem na kolanach. Gorzej jest, gdy ze względów rodzinnych trzeba brać czynny udział w przygodach z podrabianego Londona.

Żaglówka była gotowa na początek lipca.

Wiktor był „Wilkiem Morskim” i „Synem Słońca”. Alina była „Sercem Kobiety” i „Małą Panią” dużej łodzi. Łódź nazywała się „Snark” na pamiątkę Londonowskiej *Żeglugi na jachcie „Snark”*. To imię nie zostało zbyt szczęśliwie wybrane. Za blisko fonetycznie sąsiadowało z jednym z najbardziej nieapetycznych polskich słów. Toteż żeglarze i wioślarze z klubu wysilali się na wątpliwej wartości dowcipy. A uniknęłyby się tego, gdyby Wiktor i Alina posłuchali nas i wybrali którąś z nazw proponowanych ochotnie kopami przez zyczliwą rodzinę.

Ciotki proponowały „Świteziankę” lub „Goplanę”, ale to było za banalne.

Żaninka przysłała w liście piękną propozycję: „Sezonowa Miłość”, ale ten pomysł został odrzucony z oburzeniem.

Ja radziłam „Wiktorialinę”, ale to im kojarzyło się z benzoliną i nie wiadomo dlaczego z walerianą.

Chcieli koniecznie coś z literatury, i to podróżniczej.

Na propozycję Matki, żeby łódź nazwać „Marco Polo”, w ogóle nie zwrócili uwagi.

Na Ojca pomysł „Fantazja Almayera” o mało się nie obrazili, a Zyzia „John Barleycom” spotkał się z oburzonym:

- Ty zawsze tylko o wódce myślisz.

Łódź więc została ochrzczona i obmalowana jako „Snark”.

W lipcu wzięliśmy wszyscy urlopy i pojechaliśmy na wielką inauguracyjną wyprawę.

Siedem osób i całe stosy bagażu obciążały łódź tak, że zanurzyła się po burty. Lato było bardzo upalne i w korycie Wisły pomiędzy ławicami piachu chlupotało się nie więcej niż sto osiemdziesiąt łyżeczek wody. Bardzo słaby wiaterek wiał z południa, czyli z prądem. A my mieliśmy płynąć pod prąd i pod wiatr. Bez końca więc jeździliśmy halsami od jednej ławicy piasku do drugiej. Bez końca też dostawaliśmy po głowach przelatującym bomem. Zapominaliśmy bowiem chować je przy ciągłych zmianach halsów.

Matka, będąc pierwszy raz na łodzi żaglowej, zupełnie nie mogła zrozumieć, dlaczego ciągle telepiemy się w jednym miejscu od brzegu do brzegu, zamiast jechać przed siebie.

Tego dnia zrobiliśmy chyba ponad dziesięć tysięcy mil rzecznych, a nocowaliśmy koło Czerniakowa.

Potem pogoda według nas popsuka się, a według wilków morskich poprawiła i nie wiadomo

kiedy zmoknięci i przeziębieni znaleźliśmy się pod Puławami.

Matka miała już tego wszystkiego dosyć. Użyła wszystkich znanych jej superlatywów, ażeby opisać gospodarzom, jak wspaniała jest ta wycieczka, następnie porwawszy swoich *Trzech muszkieterów* pod pachę popędziła w kierunku stacji kolejowej, wsiadła w pociąg idący do Warszawy i tyle ją widzieliśmy.

Syn Słońca i Mała Pani byli tragiczni. Wobec tego, żeby ich pocieszyć, my, którzy zostaliśmy, mokliśmy na deszczu, smażyliśmy się na słońcu, przewracaliśmy się całe noce z boku na bok, szukając wygodniejszej pozycji, dawaliśmy się obgryzać do kości komarom i innym gryzoniom i twierdziliśmy, że jest cudownie.

W Kazimierzu Renia, która opaliła się tak, że wyglądała jak jeden chodzący i jęczący bąbel, poszła śladami Matki i też pognęła w kierunku Warszawy.

Na to drugie odszczepieństwo Alina i Wiktor zareagowali spokojniej. Rzeczywiście tych dwoje czuło się cudownie. Alina pławała się w literackiej stronie medalu, Wiktor w sportowej.

Kiedyś, patrząc na ich wesołe krzątanie się po obozie, odezwałam się, że do pełnego londonowskiego obrazu brak im jeszcze psa, który grałby rolę „Białego Kłosa” i „Zewu Krwi”, ale siedzący blisko Ojciec, tak mnie kopnął w nogę, że zamilkłam przerażona, bo tym odruchem pokazał mi wizję psa wielkości cielaka, mieszkającego w ciągu jesieni i zimy w naszym małym mieszkaniu. Zamilkłam więc prędko, patrząc porozumiewawczo na Ojca i z obawą na naszą postrzeloną parę. Ale oni na szczęście nie usłyszeli mojego głupiego pseudodowcipu, bo byliby go zaraz w czyn wprowadzili. Sami jakoś szczęśliwym trafem na ten pomysł nie wpadli.

W teorii ta włóczęga łódka była bardzo przyjemna, zabawna i pełna przygód. Ale tylko w teorii. W praktyce okazała się nieznośna. Albo mi było za zimno, albo za gorąco. Natomiast zawsze za twardo. Jedzenie było wprost niesamowite - albo niedogotowane, albo przypalone. W dodatku światło słoneczne oślepiało mnie, bo zaraz na początku podróży utopiły się moje słoneczne okulary, a w tych dziurach, przez które przejeżdżaliśmy, nie można było innych kupić. No i bardzo odczuwałam brak książek. Byłam zła, że nie wywiałam z Matką albo z Renią. Namawiałam Zyzia, żeby uciekł ze mną w nieznaną, czyli do Warszawy, ale on był zupełnie bez indywidualności i stał się kompletnym niewolnikiem Wiktora i Aliny. Postawiłam więc na Ojca i czekałam cierpliwie, kiedy i on znudzi się i wyczerpie tym życiem i roiłam sobie, jak to będzie wesoło, gdy uciekniemy oboje. Ojciec jednak bawił się świetnie i zupełnie zżył się z twardymi obozowymi warunkami.

Wobec tego śpiewając „uciekła wam trzecia przepióreczka” zabrałam w Sandomierzu swoje manatki i wróciłam do domu.

Matka ucieszyła się bardzo na mój widok, bo już się jej bez nas nudziło.

Pierwszą książką, którą złapałam, były Oskara Wilde'a *Dialogi o sztuce*, chciałam bowiem odpocząć od natury, na której twardym łonie spędziłam parę tygodni.

Niesłychanie się ubawiłam, gdy na pierwszych stronach tej książki znalazłam potwierdzenie moich wrażeń.

„Gdyby natura była wygodniejsza - pisze Wilde - ludzie nie byłiby nigdy stworzyli architektury, a ja wolę przebywać w mieszkaniu niż na wolnym powietrzu...”

Ponieważ ja też wolałam zostać w mieszkaniu, i to jeszcze w takim towarzystwie jak Oskar Wilde, dałam więc sobie dyspensę od żeglowania na jachcie „Snark”.

XVIII. PRZEMINĘŁO Z KOMPROMITACJĄ

Zawsze wydawało mi się, że nasz dom jest za ciasny i za gwarny. Toteż byłam bardzo zdziwiona, kiedy zrobiło się znów za cicho i za spokojnie, gdy Stefka, a później Alina wyszły za mąż i wyprowadziły się z domu.

Teraz zostałam z rodzicami tylko ja, i to w charakterze starej panny. Zdaje się, że starą panną byłam od zarania panieństwa. Ażeby więc było wszystko typowo, postarałam się o kota i stawiałam pasjansę. Kot był piękny, bury w ciemne pręgi, nazywał się Ptolemeusz, zdrobniale Ptolek i bardzo mądrze mruczał zwinięty w kłębek na kolanach moich lub Ojca.

Wydawało mi się w tym okresie, że jestem stara jak świat i że nawet usposobienie moje i zamiłowania jęłczeją z wiekiem.

Na pociechę deklamowałam sobie Boy'owskie:

Smutek w sercu moim mieszka

I tak gryzie mnie jak weszka.

Gryzie duszę moją biedną

O co? To już wszystko jedno.

Rodzice moi byli młodszy ode mnie, bo właśnie przeczytali *Kubusia Puchatka*. Wobec tego Ojciec był Puchatkiem, a Matka Prosiaczkiem. Mnie nazywali Sową Przemądrzałą. Rzeczywiście byłam nie tyle przemądrzała, co osowiała.

Dopiero przygoda z *Przeminęło z wiatrem* wykazała, że potrafię być jeszcze głupia i pomyłona. Ucieszyło mnie to bardzo i podniosło na duchu, bo te dwie zalety nie idą przecież w parze ze zrównoważoną starością.

Puchatek miał urlop w lipcu i wyjechał wraz z Prosiaczkiem. A ja z Ptolkiem zostałam na gospodarstwie. To gospodarstwo wyglądało tragicznie, bo nie lubiłam ani nie umiałam zajmować się domem. Po powrocie z biura nigdy mi się nie chciało zabierać do roboty i obrastając coraz bardziej brudem, odkładałam robienie porządków zawsze na jutro. Żywiliśmy się z Ptolemeuszem kielbasą i mlekiem, bo to było najłatwiejsze. Pomimo że starałam się wcale nie gotować, nie wiem kiedy zabrudziły się wszystkie garnki i cała porcelana. Dywan był w garby, pod niego bowiem podkopywałam co większe śmieci.

Kiedyś w piątek zatelefonowała do mnie Mizia, że na niedzielę jesteśmy zaproszone przez Barkisa - Połanieckiego na five do modnego wtedy dansingu, że więc około czwartej przyjdą oboje po mnie. Mam być gotowa i ubrana, i... żeby mieszkanie było posprzątane.

Ta Mizia byłaby bardzo miła, gdyby co jakiś czas nie wyłaźła z niej ciotka, i to ciotka strofująca.

Odburkiwałam więc:

- Dobrze! Dobrze! Dobrze! - na wszystkie jej napomnienia.

Przecież sama wiem, że mieszkanie powinno być wysprzątane w ogóle. A jeśli ma przyjść Ona, to musi być wysprzątane w szczególności.

Postanowiłam więc zabrać się cnotliwie do roboty i już nie odkładając, dziś, przy piątku wysprzątać tę stajnię Augiasza.

Ale cóż! Nie darmo się mówi, że piekło jest wybrukowane dobrymi zamiarami.

Przed samą trzecią zadzwoniła Alina, żebym przyszła do nich na obiad, potem pójdziemy do kina i nareszcie będą mi mogli pożyczyć *Przeminęło z wiatrem* bo już z Wiktozem przeczytali.

Książka ta niedawno została wydana i narobiła ogromnego szumu. Wszyscy o niej mówili i wszyscy się zachwycali. Nie kupiłam jej, gdyż była bardzo droga. Czekałam cierpliwie, kiedy Alina z Wiktozem ją przeczytają i czekałam długo. Książka była bardzo gruba, a Wiktor nie umiał czytać po naszymu.

Z tego drugiego telefonu ucieszyłam się bardziej, bo po pierwsze - książka, po drugie - przyzwoity obiad, a po trzecie - dziś już nie będę sprzątać, i to nie z mojej winy.

Po drodze wpadłam do domu, ażeby dać Ptolкови jego porcję kiełbasy i mleka, następnie pognałam do Wiktorów.

Obiad był pyszny. Film świetny. Po kinie Wiktor zaciągnął nas na lody. Cały czas musiałam wysłuchiwać wszystkich „achów” i „ochów” Aliny na temat *Przeminęło z wiatrem* i tak się tymi zachwykami przejęłam, że wróciwszy do domu po godzinie dziewiątej zabrałam się do czytania.

Są książki, które się czyta.

Są książki, które się pochłania.

Są książki, które pochłaniają czytającego.

Dla mnie właśnie *Przeminęło z wiatrem* było taką książką.

Czytałam przez całą noc. Zaczęło się robić widno, gdy zasnęłam. Obudziłam się o dziesiątej. Nie było więc sensu iść o tak późnej porze do biura. Wobec tego zjadłam śniadanie i wróciłam do łóżka czytać dalej. Trapiła mnie co prawda myśl o sprzątaniu mieszkania, ale miałam przed sobą całe popołudnie. O godzinie piątej wypędził mnie z łóżka głód i miauczenie Ptolka. Nałożyłam więc na nocną koszulę prochowiec i wyskoczyłam do najbliższego sklepu po kiełbasę, bułki i mleko.

Pokrzepiona na ciele, pokrzepiałam się na duchu myślą, że posprzątam w niedzielę rano.

Do której godziny w nocy czytałam, nie wiem, bo stanął nienakręcony zegarek. O której godzinie obudziłam się w niedzielę, też nie wiem, z tego samego powodu.

Do jedzenia miałam w domu już tylko dwie tabliczki czekolady. Całe szczęście, że Ptolemeusz lubił czekoladę, tak samo jak ja. Postanowiłam więc spokojnie skończyć książkę, a zostało mi zaledwie około stu stron, i potem oddać się sprzątaniu i szykowaniu na dansing.

Zbliżałam się już do końca tej fascynującej powieści, gdy ktoś zaczął się dobijać do drzwi. Odruchowo, myślą tkwiąc cały czas w książce, podniosłam się i otworzyłam.

Przed drzwiami stali Mizia z Połanieckim. Uśmiechnięci, weseli i wylegantowani.

Mizia popatrzyła na mnie z przerażeniem. Jak by Wiech powiedział, „rozkociudana” byłam straszliwie i „w stroju niedbałym”. Nie myłam się przecież od piątku.

- Chora jesteś? - jęknęła Mizia.

Gdybym powiedziała, że jestem chora, byłabym uratowana. Chorym przecież wybacza się wszystko. Ale byłam tak przejęta książką, tak pełna jak Alina „achów” i „ochów”, że utraciłam całą swą życiową chytrą i zaprzeczyłam. A małe kłamstewko uratowałoby moją opinię w rodzinie.

Mizia była na mnie wściekła i rozszczękała wszystkim wszystko. Lubowała się w opisywaniu, jak wyglądałam ja, jak wyglądało mieszkanie. Zostałam na resztę życia rodzinną flądram, zresztą bardzo słuszną.

W przeciwieństwie do Mizi, Połaniecki zrozumiał mnie i, o dziwo, okazał się bratnią duszą.

Na dansingu zamawiał dla mnie jedną potrawę za drugą, a ja nie jadłam, a żarłam. Mizia mrugała dyskretnie, ażeby zahamować mój nieprzyzwoity apetyt, ale ja byłam wygłodzona i nic mnie nie obchodziło poza pełnym talerzem.

Gdy już się najadłam, zupełnie dobiłam Mizie i jej wytworność. Bo resztki z talerzy zawięzałam w bibułkowe serwetki i zabrałam do torebki dla wygłodzonego Ptolemeusza.

Jedna kompromitacja mniej, jedna więcej - to już dla mnie nie miało znaczenia.

- Kompromitacja - kompromitacją, kochany Ptolemeuszu - przemawiałam późnym wieczorem do obzartego jak bąk kota - ale widzę po twojej minie, że promieniejesz w całym tego słowa znaczeniu, wewnętrznym zadowoleniem. Bardzo mi przykro, że jesteś moim kotem, a nie kotem *Klubu Pickwicka*. Tam objadałbyś się tak jak dziś, na każdej stronie. Zechciej sobie przypomnieć, że po *Ćwierciakiewiczowej Klub Pickwicka* jest najbardziej gastronomiczną książką.

- Miau - odpowiedział żałośnie a filozoficznie.

- Pomyśl, Ptolemeuszu, jak to byłoby nawet praktycznie i wygodnie, gdybyśmy mogli przeskakiwać ze stron jednej książki do zupełnie innej, zależnie od potrzeb i nastrojów. Alina usiłuje to robić, ale to jest tylko nędzna imitacja.

- Miau - potwierdził pogardliwie kot.

- Więc dobranoc, Ptoleczku... A zasypiając przeskocz w *Klub Pickwicka*... Ja przeskoczę też, ale wyobraź sobie, że ja wybieram sobie jakąś powieść zaludnioną panami w średnim wieku, opanowanymi, dobrze wychowanymi, odznaczającymi się wielką rezerwą w zachowaniu. Trzeba ci wiedzieć, że Barkis strasznie mi się dzisiaj podobał. Był tak uroczo opiekuńczy i poważny, a równocześnie widać było po jego oczach, że w środku pęka ze śmiechu... Podziwiam jego takt i dyplomację... Cały wieczór trzymał w cuglach wewnętrzną furię Mizi, moją nonszalancję i

wylawrował tak, że uniknęło się rodzinnej awantury. Jak to mogło się stać, że tyle lat znając Barkisa dopiero dzisiaj zobaczyłam, jaki on jest naprawdę... Ptolemeuszu! Ptolemeuszu! Proszę cię, nie powtórz nikomu tego, co teraz gadam.

Rozespane: „Miau” - zapewniło mnie o kompletnej dyskrecji.

XIX. BARKIS ZAMIARY WPROWADZA W CZYN

Bum!

Bomba pękła i aż zakotłowało się w naszej skarbowej rodzinie.

Gdyby nie to, że czułam się trochę jak cielę prowadzone na rzeź, na pewno ubawiłabym się o wiele lepiej. Ale i tak nie miałam właściwie na co narzekać.

Wszystko odbyło się bardzo zabawnie.

Zaczęło się od tego, że pan Stanisław Stolarczyk urządził w Hotelu Europejskim wielki obiad, na który zaprosił całą naszą rodzinę.

Wszyscy poza Ojcem, aż uginali się od zaszczytu, jaki ich spotkał. Przypuszczali, że przyjęcie to będzie pewnego rodzaju rewanzem ze strony Bankisa, który jako kawaler nigdy u siebie przyjęć nie urządzał.

Ostatnie dwa dni przed tą tak ważną dla wszystkich datą przesiedziałam w biurze przy telefonie, zamiast pracować.

Dzwoniła do mnie Lusia, chcąc się dowiedzieć i upewnić, czy mam przyszykowaną odpowiednią suknię.

Dzwoniła Mizia, też w sprawie sukni i żebym nie zapomniała być u fryzjera i żebym nie była za bardzo głodna, bo już ma dosyć asystowania przy moich kompromitacjach.

- Dobrze, kochana - odpowiadałam cierpliwie. - Dla twego spokoju obiecuję nawet umyć szyję.

- Tak! Obiecujesz dzisiaj, na dwa dni przed przyjęciem - brzęczała dalej w telefonie. - Nigdy ci już nie zaufam. Znowu zaczniesz czytać jakąś książkę i znowu się wygłupisz! Jak ja cię dobrze znam...

- Wam się wydaje, że mnie znacie. Ale wy mnie jeszcze nie znacie. I lepiej dla was, żebyście mnie nie poznali... - zaczęłam deklamować ze *Szwejka*.

- Przestań - krzyknęła. - Przed przyjęciem przyjdziemy z Lusią do was i jeśli nie będziesz wyglądać przyzwoicie, to cię nie zabierzemy.

W tej samej sprawie dzwoniła ciotka Kunigas - Lewińska. W tej samej żony kuzynów z izby skarbowej. Widać było, że Mizia nie próżnowała przez te trzy miesiące. Z tych telefonów wynikało, że wszyscy czuliby się o wiele lepiej, gdyby wiedzieli, że Barkis ominął mnie w zaproszeniach. O, naiwni! Nie wiedzieli, że gdyby nie ja, nie byłoby tego całego przyjęcia, które doprowadzało ich do takiej gorączki.

Nawet Wiktor przyleciał do mnie z drugiego końca magistratu.

- Dyna! - wrzasnął. - Czy muszę sobie zmarnować niedzielę tym głupim obiadem?

- Wypada ci być na nim - odpowiedziałam.

- Piekło i szatani! - zaklął. - Takie piękne jesienne wiatry teraz wieją. Słuchaj! Lepiej i ty nie idź na ten nudny obiad. Pojedziemy sobie zamiast tego w trójkę „Snarkiem”. Zobaczysz, jak będzie cudownie.

- Nie mogę! Obiecałam, że będę. I z dwojga złego wolę dobry obiad niż twojego „Snarka”.

Alina też telefonowała. Cieszyła się na bankiet rodzinny i dziwiła, co ugryzło Połanieckiego, że taki bankiet finansuje.

Jej też nie wyznałam mojej tajemnicy. Znał ją tylko Ptolemeusz. On jeden wiedział, co wyczyniał Barkis przez trzy miesiące i jak mnie oplątał, żebym wyszeptala wyświechtane w powieściach „tak”. Kochana kocina milczała i nie szepnęła nikomu ani słówka, żeby było zabawniej.

Bomba pękła przy szampanie, który zresztą był obrzydliwy i wcale mi nie smakował. Stwierdziłam, że w powieściach jest przereklamowany. Ale niewiele mogłam poświęcić czasu analizowaniu szampana i swoich pierwszych w zetknięciu z nim wrażeń, ponieważ Barkis nagle wstał i w krótkich słowach oznajmił, że jest ze mną zaręczony.

Bum!

Wszyscy spłonęli rumieńcem, nie od szampana, ale od niespodziewanej a wielkiej radości.

NACZELNIK WYDZIAŁU w rodzinie!

Ciotka Lewińska tryumfowała, bo według niej tylko dzięki mądrym porodom, tak hojnie przez nią udzielanym, udało mi się zrobić karierę.

Wuj i kuzyni patrzyli na mnie z podziwem i szacunkiem.

Mizia mrugała oczami, nie mogąc zupełnie zrozumieć, że to prawda. Przecież powinnam być skompromitowana w oczach Barkisa. Przecież mężczyźni żenią się ze zrównoważonymi, gospodarnymi, normalnymi pannami. Więc skąd i dlaczego Barkis, który uniknął tylu naprawdę wartościowych sideł, robi teraz takie głupstwo i żeni się z wariatką taką jak ja?

Matka i Alina promieniały, że nie zostaną starą panną, czego ostatnio zaczęły się już obawiać.

Ojciec tylko był jakiś dziwny. Wyczułam, że udawał wesołego i zadowolonego.

Wiktor zaś nie zadał sobie nawet trudu udawać radości. Siedział z miną ponurą i ze złością rozglądał się dookoła po rozanielonych twarzach.

- Czy musisz koniecznie wychodzić za mąż za tego kościanego dziadka? - zaszeptał, gdy wszyscy poderwali się od stołu i nastąpił zamęt powinszowaniowy. - Dlaczego pogardziłaś tymi młodymi, wysportowanymi chłopcami z klubu, których ci kopami gotów byłem sprowadzać? - jęczał w dalszym ciągu, udając, że składa mi życzenia.

Nie miałam czasu na intymną z nim rozmowę, ponieważ wszyscy winszowali mi sukcesu, a Barkisowi urywali prawą rękę, potrząsając nią coraz energiczniej.

Myślałam, że wszelkie zaręczynowe wzruszenia zaczną się i skończą tym jednym obiadem.
Ale tak myślałam tylko ja.

Naokoło rozpętał się teraz istny huragan zaproszeń, przyjęć, wizyt składanych mnie, wizyt, które z Barkisem musieliśmy składać i innych okropnie nudnych i zupełnie niepotrzebnych zajęć, co przewróciło do góry nogami całe moje tak mile ułożone dotychczasowe życie. A w wolne od takich wizyt dni teraz Barkis dla odmiany wysiadywał dziury w moim fotelu i na czytanie nie miałam już zupełnie czasu.

Poza tym wszyscy zachowywali się tak jak my z Aliną w dzieciństwie, gdy nie wiedziałyśmy, na czym miłość polega i o co w niej chodzi.

Ginęłam pod lawiną pytań.

Jeden Ojciec zaoszczędził mi dziwnych i niepotrzebnych rozmówek na ten temat. Gdy wróciliśmy z obiadu zaręczynowego do domu, powiedział tylko enigmatycznie:

- „Kobieta musi przeżyć swoje życie albo pokutować, że go nie przeżyła”, jak mądrze powiedział Lawrence. A „mąż jest jak odra, albo się go dostanie, albo nie”, jak powiedział nie pamiętam już kto.

I po swoim zabrał się do czytania.

Wiktor dogonił mnie zaraz na drugi dzień podczas tradycyjnego biegu po magistrackich korytarzach. Gorączkowo i z impetem wystąpił w obronie całych zastępów wysportowanych, czarujących młodych ludzi których krzywdzę, obdarzając swoją osobą starego kawalera.

- Daj mi spokój z twoimi wysportowanymi młodymi ludźmi - odpowiedziałam mu. - Wiesz o tym, że od dzieciństwa kocham się stale we wszystkich bohaterach książkowych. Na ich tle twoi młodzieńcy wydają mi się nieinteresujący i wyblakli.

- Rany boskie! - ryknął tak głośno, że aż zatrzymało się dwóch referentów, jedna sekretarka i jedna maszynistka w błogiej nadziei na jakąś awanturę lub może skandalik, który da im rozrywkę podczas nudnego urzędowania. - Rany boskie! - powtórzył już ciszej. - To Barkis nie jest wyblakły! Barkis jest taki interesujący! Nie róbże ze mnie idioty.

- Uspokój się i nie wywołuj widowiska. Wychodzę za Barkisa dlatego, że jestem wygodna. Znam go od dziecka. Przyzwyczaiałam się do niego i lubię go. On jest teraz rozczytany i z nim będę miała życie spokojne i jednostajne, takie, do jakiego przywykłam i jakie lubię.

- No to powiedz od razu, że wychodzisz za męża bez miłości, a dla forsy i stanowiska - zaczął znowu prawie że wrzeszczeć na cały korytarz.

- Jeśli tak komentujesz to, co powiedziałam, to nie potrzebujemy ze sobą w ogóle rozmawiać - odpowiedziałam z godnością i rozeszliśmy się w przeciwne strony z żalem, że nasza dotychczasowa przyjaźń i zażyłość nie wytrzymały próby.

Mizia też przypuściła do mnie atak, ażeby się dowiedzieć, kiedy i jak Barkis zapłonął do

mnie miłością.

- Wyobraź sobie - opowiadałam jej - Barkis zwierzył mi się, że panicznie zawsze bał się panien i młodych kobiet, które starały się pokazać od najlepszej strony. Zawsze wydawało mu się, że lecą na niego i chcą się za niego wydać. Dopiero to, co ty nazwałaś „Przeminęło z kompromitacją”, otworzyło mu oczy na moją bezinteresowność i pokazało moje uroki we właściwym świetle.

- Więc nie ma recepty na zdobywanie męża? - zapytała Mizia.

- Okazuje się, że nie ma - pokiwałam mądrze głową.

Matka i Alina też rzuciły się na mnie i zaczęły dokopywać się przyczyn i powodów mojej decyzji.

Im dwom, do których miałam tak wielkie zaufanie, przyznałam się, że „metoda rodzinnego brzęczenia” największy miała wpływ na ten krok w moim życiu. Wytrzeszczyły na mnie oczy przy terminie „metoda rodzinnego brzęczenia”, który nareszcie nie był żadną cytata, tylko wyjątkowo moim własnym wynalazkiem. Musiałam więc wszystko wyjaśnić od początku.

- Widzicie, to jest tak. W każdej rodzinie co jakiś czas schodzą się wszystkie mężatki i żalą się na swych mężów i opłakują swój los, ponieważ pożycie małżeńskie aż mrowi się od trosk, kłopotów, problemów, które rozrastają się do apokaliptycznych rozmiarów. Gdy wygadają już wszystkie swoje żale i pretensje, omówią każdy szczegół nędz małżeńskiego pożycia - bez najmniejszego logicznego powiązania przerzucają się na łamanie rąk i litowanie się nad niezamężną jakąś kuzynką, biedną starą panną w rodzinie, która uniknęła... Czego?... Małżeństwa! Ominął ją świetny los... I katarynka zaczyna się kręcić w przeciwnym kierunku, i to tak intensywnie, i to tak natrętnie, że w końcu ogłupiała ofiara, zupełnie pozbawiona temperamentu, która mogłaby być szczęśliwym i pełnowartościowym człowiekiem, ulega psychozie, zaczyna wierzyć, że coś wyjątkowego ominęło ją w życiu, sama staje się nieszczęśliwa i nieszczęściem swoim i zawodem zatruwa życie najbliższemu otoczeniu. Ponieważ ostatnio „brzęczenie rodzinne” zaczęło się na mój temat, a przejmuję mnie ono nie tylko obrzydzeniem, ale i lękiem, więc widzę, że tylko wyjście za mąż położy temu kres.

- Mój Boże! - załamała ręce Matka. - Dlaczego nie wychodzisz za mąż z miłości? Dlaczego zaręczyłaś się tak jakoś nie wiadomo dlaczego? Popatrz na Alinę! Jest taka szczęśliwa, bo kocha Wiktora i Wiktor ją kocha. Czy nigdy nie byłaś zakochana? A może się jeszcze zakochasz?

Alina ryknęła śmiechem na te biadolenia Matki. Ja też zaczęłam się śmiać, ale Matka była zirytowana i zawołała.

- Odpowiedz mi poważnie na te pytania!

- Dobrze! Odpowiem ci - podjęłam znów wracając do powagi. - Wiedz zatem, że wiele razy w życiu byłam zakochana, ale to wszystko nie było ważne. Teraz jestem zakochana naprawdę. - Tu

westchnęłam romantycznie i marząco.

- I nie w panu Stanisławie? - zapytała przerażonym szeptem Matka.

- Nie! - odpowiedziałam westchnąwszy ciężko.

- Na litość boską! A w kim?

- W Ashleyu Wilkesie - odpowiedziałam szczerze.

Alina zjechała z fotela na dywan i tam tarzała się podzucana radością. Matka zaś wpadła na mnie z furją.

- Albo rozmawiaj ze mną jak córka z matką, albo powiedz, że nie chcesz w ogóle rozmawiać na te tematy. Przestań się wygłupiać i nie irytuj mnie!

- No więc nie irytuj się, Mamo - odpowiedziałam, kopnąwszy Alinę, która płakała w dywanik. - Powiedziałam ci najprawdziwszą prawdę. Kocham się w Ashleyu, ale ponieważ go nigdy nie spotkam, więc wychodzę za Barkisa.

- Matka ma rację - podjęła Alina, rozcierając kopnięte przeze mnie kolano. - Jesteś beznadziejna. Dlaczego kochasz się w Ashleyu? Przecież on jest nudny. Dlaczego nie kochasz się w Recie Butlerze? Ten przynajmniej jest prawdziwym mężczyzną, a nie taką ciepłą kluską jak Ashley.

- Butler jest za krwisty, za męski na moje gusta, a Ashley...

- Przestańcie! - krzyknęła Matka. - Ja naprawdę któregoś dnia zwariuję przez was. Zosiu! Powiedz mi, ale tak naprawdę, bo ja zupełnie nie mogę zrozumieć. Jak to może być?

- A skąd ja mam wiedzieć, jak to może być? Wiem tylko, że tak jest - zakończyłam.

XX. WIECZNE ZMARTWIENIE

Dlaczego w życiu nie może być tak jak w pogodnej powieści?

Dlaczego tak jest na świecie, że zawsze po latach wielkiej szczęśliwości, pogody i wesela przychodzi siedem lat chudych?

Skończyły się w naszym domu piękne dni Aranjezu i Matka przestała przypominać zadowolonego z życia Puchatkowego Prosiaczka. Zawisło nad nią Wieczne Zmartwienie z *Nocy i dni* Marii Dąbrowskiej i stała się panią Barbarą wzdychającą i martwiącą się nie tylko chwilą obecną, ale i na zapas.

Powód?

Najpierw Alina...

Alina pokłóciła się z Wiktorem. Jak blady upiór rodzinny, z zaciśniętymi ustami zjawiła się przed naszym domem w taksówce załadowanej walizkami jej osobistych rzeczy. Schroniła się do naszego ongiś wspólnego pokoju, ażeby pod rodzicielskim dachem lizać rany zadane jej przez okrutne życie.

Ojciec był tym wszystkim wyraźnie zaskoczony. Wiktora bardzo lubił i wydawało mu się zawsze, że Alina jest w swym małżeństwie szczęśliwa. Próbował więc z początku bagatelizować sytuację.

- Myślałem, że nigdy nie porzucisz Pana Micawbera - mówił do Aliny, przechodząc do porządku dziennego nad listą przestępstw zięcia, przytaczanych przez Alinę, i nigdy nie pozwalając sobie go sądzić.

W domu rozpętało się piekło, bo Wiktor przylatywał ciągle do nas i wobec tego kłócili się nad naszymi głowami.

Strasznie dużo obydwójce mówili i sam diabeł nie potrafiłby się zorientować, które z nich miało rację i w ogóle o co chodzi.

Ojciec pozwalał im się wyklócać, bo myślał, że się tym znużą i przejdzie im złość i zawziętość wzajemna. Gdy zwracali się do niego, żeby ich rozsądzał, zwykle odpowiadał:

- Poradzę wam jak ojciec... Róbcie, jak chcecie! - i chował się po swojemu za książkę.

Matka usiłowała ich godzić, ale w takich wypadkach o mało sama nie obrywała. Wycofywała się więc do roli widza, widza łamiącego ręce i polewającego każdą awanturę łzami.

Ja chodziłam wściekła i zdenerwowana. Wiktora lubiłam wyjątkowo i byłam do niego bardzo przywiązana. Nie chciałam tracić takiego szwagra. Próbowałam ich pogodzić nie jak Matka, gdy byli razem rozwścieczeni, ale spokojnie rozpatrzeć sprawę z każdym z osobna.

Poszłam więc do Wiktora, do ich dotychczas wspólnego mieszkania.

Wiktor nieogolony, zaniedbany miotał się jak trąba powietrzna po nie posprzątanym

mieszkanu.

Chciałam go uspokoić i rozśmieszyć, więc odezwałam się:

- Myślałam, że w małżeństwie swoim będziesz się kierował zasadą: „Moja wdzięczna dziewczko, niechże mnie Bóg opuści, jeśli cię kiedy zaniecham”.

Ale bardzo źle trafiłam, bo zwymyślał mnie tylko i prawie wyrzucił za drzwi.

Z Aliną też nie mogłam się dogadać. Na każdą wzmiankę o pogodzeniu dostawała ataków furii.

Przechodzili widocznie zwyczajny kryzys małżeński, ale jakoś za bardzo burzliwie i kłótliwie.

Obydwoje byli uparci i tak się w końcu na siebie zawzięli, że postanowili się rozejść i zaczęli unieważniać swoje małżeństwo w sądzie arcybiskupim. Naturalnie sprawa szła opornie i nie zanosilo się na to, że ich związek zostanie rozwiązany. Księża byli bardzo twardzi, a sprawa błaha i głupia. Ojciec i ja męczyliśmy się bardzo, bo zostaliśmy podani jako świadkowie: ja Wiktora, a Ojciec Aliny. Przed każdą rozprawą znosiliśmy męki Tantalą. Wiktor zamęczał nas tłumacząc, co mamy mówić. Alina wypisywała u adwokata całe referaty, każąc się uczyć ich na pamięć, ażeby łatwiej nam było deklamować przed sądem.

A w sądzie cierpliwie protokołowano nasze gładzenia.

Wszystko było beznadziejnie irytujące i nieprzyjemne, a w domu atmosfera nie do wytrzymania. Poza Ojcem byliśmy wszyscy ponurzy, źli i nieznośni.

Ojciec dusił się w takiej atmosferze.

Któregoś dnia kłóćąc się z Aliną, naturalnie, jak to zwykle bywa w życiu, o jakiś drobiazg, krzyknęłam:

- „Jak jeden człowiek może być taką kupą idiotów” z *Trzech panów na śniegu*?

- Ty nędzna *Imitacja życia* Fanny Hurst! Ty *Stara panno* Balzaka! - wrzeszczała Alina.

- Ty *Dziewico konsystorska* Boya Żeleńskiego - ryknęłam i jak za dawnych, dobrych dziecinnych czasów rzuciłyśmy się do bójk i do wrywania sobie włosów. Ojciec cisnął książkę i wpadł do naszego pokoju, ażeby nas rozdzielić. Potrząsnął nami solidnie i przyłożył po bolesnym klapsie, też jak za dawnych, dobrych, dziecinnych czasów. Uspokoiło to nas momentalnie i wprawiło z miejsca w pyszny humor.

- Zachowujecie się jak bandarlogi Kiplinga - powiedział z wyrzutem. - Jeśli jeszcze raz będziecie się w domu kłócić i biły, to pognam was „batożkami boso po śniegu”. Rodzina jest po to, żeby sobie pomagać i wspierać się we wszystkich momentach życiowych, zwłaszcza w trudniejszych i bardziej skomplikowanych. Takie, rozumiecie, „Kupą panowie!” I to jest jedna jedyna rzecz, której od was wymagam i będę wymagał. Co do dziewicy konsystorskiej... to, Alino, jeśli w dalszym ciągu pragniesz porzucić Pana Micawbera, pomogę ci... Dyna dała nam swym

odezwaniem broń do ręki, broń potężną, którą zwalczymy sąd arcybiskupi. A ty! - tu zwrócił się do Matki - przestań cierpieć za miliony, przestań płakać, wzdychać i rozmyślać, o co to się miałaś martwić. Musisz mi uwierzyć, że nie ma żadnego nieszczęścia, jak długo nosimy *Słońce w herbie Makuszyńskiego*. A teraz się pocałujcie i dajcie mi spokój, bo jestem w bardzo ciekawym miejscu i ogromnie mi ciągle przeszkadzacie czytać... Uff! Chyba nigdy w życiu tyle na raz nie powiedziałem. I to wszystko przez was.

Zamiast całować siebie, rzuciłyśmy się całować i ścisnąć najbardziej chyba miłego Ojca na świecie.

I znów zapanowała u nas harmonia.

Następnego dnia Ojciec wziął *Dziewice konsystorskie*, *Świadome macierzyństwo* i jeszcze inne książki Boya, co skandaliczniesze z punktu widzenia kleru i, jak to się mówi po biblijnemu, sam czytał i mnie dał do czytania.

W tydzień później w sądzie arcybiskupim tak się zaczął rozwodzić na tematy małżeństwa i świadomego macierzyństwa, powołując się ciągle na Boya, że doprowadził księży do białej gorączki. Ja sekundowałam mu dzielnie.

Sąd arcybiskupi nabrał takiego wstrętu do naszej okropnej rodziny, że postanowił uwolnić pragnącego żyć po katolicku Wiktora od nieodpowiedniego i nieszczęśliwego związku małżeńskiego.

Tak to dzięki Boyowi Ojciec przechytrzył sąd arcybiskupi. A Alina po otrzymaniu unieważnienia anonimowo posłała Boyowi w podziękę ogromny kosz kwiatów.

XXI. WIATR W OCZY

Równolegle do kryzysu małżeńskiego Aliny i ja przeżywałam swój kryzys życiowy. Wrzaski Aliny, że jestem nędzną *Imitacją życia* Fanny Hurst i *Starą panną* Balzaka, trafiły w sedno sprawy.

Zaręczyny bowiem moje z panem Stolarczykiem zostały zerwane.

Cała nasza skarbowa rodzina była zrozpaczona. Matka zalewała się łzami, a Mizia tryumfowała.

Ile razy usiłowałam zastanowić się, dlaczego wykreśliłam ze swego życia Barkisa, tyle razy dochodziłam do przekonania, że za mało jest popularyzowana użytkowa psychologia, za mało człowiek wie sam o sobie, wskutek tego często postępuje jak idiota, a potem bardzo tego żałuje. Analizując swoje przeżycia stwierdziłam, że w nauce o poznaniu samego siebie najwięcej rozbudowałabym rozdział pod tytułem: wpływologia. Nawet nie zdajemy sobie sprawy, jak wiele czynników z zewnątrz rządzi nami tak silnie, że stajemy się bezwolnymi marionetkami i postępujemy wbrew własnemu przekonaniu.

Na zlikwidowanie w moim życiu Barkisa miało wpływ bardzo wiele czynników z zewnątrz.

Więc najpierw denerwowanie się sprawami Aliny i Wiktora i w związku z tym przygnębiający nastrój ogólny.

Następnie bezkrytyczny zachwyt rodziny dla kariery, którą robię, i natrętna radość z naczelnika wydziału w rodzinie. Podśmiewałam się z tego, ale naprawdę to mnie bardzo irytowało.

Poza tym jak cieżko tkwiło mi w pamięci powiedzenie Wiktora, że wychodzę za mąż dla forsy i stanowiska.

Byłam coraz bardziej pełna niesmaku.

Ostatecznie dobiła mnie Anka drobnym, niewinnym żarcikiem, który rozstrzygnął o moim losie. Pod wpływem tego żarciku pokręciłam sobie życie.

Było to w okresie, gdy Alina z Wiktorem najbardziej się wyklócali i pod naszym dachem rodzinnym nie można było wytrzymać.

Pocziwy Barkis wyciągał mnie jak najwięcej z domu, organizując i obmyślając coraz to inne rozrywki i przyjemności. Chciał też przyspieszyć datę naszego ślubu, ażeby wyrwać mnie z nieznośnego w tym czasie domu.

Ale ja byłam zupełnie oklapnięta, pozbawiona energii i zniechęcona do wszystkiego.

Któregoś wieczoru wyciągnął mnie do Teatru Polskiego na *Cyrana de Bergerac* Rostanda z Mariuszem Maszyńskim i Janiną Romanówną.

Szłam z wielką ochotą, bo Maszyńskiego uwielbiałam i Romanównę też. I zupełnie nie przypuszczałam, że ten wieczór będzie w moim życiu kamieniem milowym.

Gdy już usiedliśmy w naszych fotelach i rozejrzałam się po otoczeniu, spostrzegłam, że fotel koło mnie zajmuje Anka, z którą nie widziałam się znowu od dwóch lat. Aż podskoczyłam z radości, ale natychmiast zmroził mnie lodowaty chłód, który wiał od Anki. Żaden mięsień nie drgnął w jej twarzy. Siedziała sama, sztywno wyprostowana, z oczami utkwionymi w kurtynie. Zorientowałam się, że nie chce się ze mną przywitać, a pamiętając jej fanaberie w szkole, postanowiłam zachować się tak, jak ona sobie tego życzyła. Siedziałyśmy więc koło siebie jak zupełnie obce osoby.

Barkis coś tam gaworzył do mnie, ale zirytowana tą dość dla mnie nieprzyjemną sytuacją, nie bardzo go słuchałam. Gdy ściemniło się na sali, mój ukochany narzeczony wyciągnął z kieszeni czekoladę grylazową, którą najbardziej lubiłam, i z jakimś staroświeckim podrygiem podał mi ją, głaszcząc równocześnie moją rękę.

Myślałam, że pęknę ze złości.

Cały pierwszy akt miałam zmarnowany. Rozmyślałam, czy Anka to zauważyła, co myśli i czy bardzo się ze mnie naśmiewa.

Równocześnie byłam zła, że ciągle o niej myślę i że nie dociera do mnie to, co się dzieje na scenie.

Cała uczta duchowa, na którą się szykowałam, szła na marne. Patrzyłam szklanym wzrokiem na Romanównę, patrzyłam szklanym wzrokiem na ukochanie Warszawy, Mariusza Maszyńskiego, nic nie rozumiałam, nic nie słyszałam i robiłam się coraz złejsza i złejsza.

Podczas przerwy wysłałam Połanieckiego na papierosa, a sama rzuciłam się na Ankę.

- Dlaczego się wygłupiasz? Dlaczego ostentacyjnie udajesz, że mnie nie znasz?

- Nie chcę przeszkadzać w czułym sam na sam.

- Och, Anko - odpowiedziałam. - Przecież byłoby o wiele lepiej, gdybyśmy bawili się w trójkę. A tak się męczę tą głupią sytuacją, jaką mi narzuciłaś, i cały wieczór mam przez ciebie zmarnowany.

Anka wzruszyła ramionami.

- Ja wolę taką sytuację - odpowiedziała egoistycznie.

- Powiedz mi tylko - dodała po chwili milczenia z ironicznym uśmiechem. - Czy to do tego Hrabiego Monte Christo, który poszedł na papierosa, płoniesz wielką i gorącą miłością?... Gdy ostatni raz widziałyśmy się, bredziłaś coś na ten temat.

Nie zdążyłam jej odpowiedzieć, bo zlodowaciała znów i utkwiała wzrok w kurtynie. Obejrzałam się i rzeczywiście Barkis wracał z palarni.

Teraz już całe przedstawienie diabli wzięli. Nic a nic sprawy Cyrana nie mogły do mnie dotrzeć i przebić się przez wir myśli, które miotają się po mojej głupiej głowie.

Hrabia Monte Christo i Barkis... Barkis i Kmicic... Ashley i Barkis...

Nie! Nie mogę zostać żoną Barkisa! Lubienie, przyzwyczajenie, przywiązanie... - to za mało, ażeby się wiązać na całe życie. Lepiej zostać wierną swoim dotychczasowym przyzwyczajeniom. Barkis przecież nie będzie dla mnie nigdy... „nad wszystko drogą i nad wszystko uwielbioną głową”...

Wyzwolona z karuzeli myśli przez powzięcie tak doniosłej i równocześnie nieodwołalnej decyzji, zwróciłam wreszcie uwagę na to, co się dzieje na scenie. Sztuka już się kończyła. Maszyński prawie szeptem elektryzował widownię ostatnim dwuwierszem:

Jest coś co bez zagięcia, bez płamy dni chwały

Unoszę...

Pióropusz mój biały!

Zahipnotyzowana tymi słowami, przyłożyłam je też natychmiast do swojej sytuacji. Nie. Nie będę już posądzana o małżeństwo dla interesu. Nie będę zwodzić Barkisa... i ja bez płamy uniosę mój pióropusz biały.

Nie wiem dlaczego to zakończenie *Cyrana* tym bardziej utwierdziło mnie w moich zamiarach. Pewno wpływologia wytłumaczyłaby mi, jakimi drogami doszło do tego.

Po wyjściu z teatru z zimnym okrucieństwem poinformowałam niespodziewającego się takiej rozmowy Barkisa, że nie zostanę jego żoną, że decyzja moja jest nieodwołalna, że małżeństwo nasze byłoby pomyłką, w każdym razie z mojej strony, że bardzo mi przykro... Zimno podałam mu rękę i popędziłam do domu.

W domu do niczego się nie przyznałam.

Dopiero po dwu tygodniach w kłębiącym się od spraw Aliny domu zorientowano się, że coś zepsuło się i w moim „państwie duńskim”. Przyduszono mnie do wyznań. Odpowiedziałam krótko:

- Ponieważ doszłam do przekonania, że nie kocham Połanieckiego i nie pokocham nigdy, słusznie chyba zrobiłam, że z nim zerwałam.

- Nie martwcie się, będę „ja Wam służyć, moje panny córki, choć stary i niezgrabny” - powiedział przy kolacji Ojciec.

Jednakże ja się martwiłam, bo właśnie podczas tych dwóch tygodni zrozumiałam, że poza lubieniem i przywiązaniem mam do pana Stanisława jakieś zupełnie jeszcze inne uczucia, z których sobie dotąd sprawy nie zdawałam, i że mi coraz bardziej brak jego czułego spojrzenia, jego spokojnego uśmiechu, jego delikatności i w ogóle...

Ale było już za późno.

XXII. MOJE PANNY CÓRKI

„Moje panny córki” mieszkaly więc znów obydwie wraz z rodzicami i obydwie udawały, że są szczęśliwe.

Bardzo szybko zorientowałam się, że Alina natychmiast po unieważnieniu swego małżeństwa zaczęła tęsknić za Wiktorem i żałować tego, co się stało.

Ale ponieważ wszystko już się stało i nie wyobrażałyśmy sobie, że się może odstać, więc robiłyśmy dobrą minę do złej gry.

Alina rzuciła się z impetem na książki, ażeby dzięki nim znaleźć sobie jakąś postać, w którą mogłaby się wcielić i mieć z tego pociechę.

Ja rzuciłam się na książki, ażeby zakochać się w jakimś bohaterze i czuć znów to ciepło wewnętrzne, jakie zawsze wtedy odczuwałam i z którym tak przyjemnie było chodzić po świecie.

Ale jakoś nie bardzo nam to wychodziło.

Nie było to już takie żywiołowe, takie barwne, takie bez reszty zagarniające, jak w dzieciństwie i wczesnej młodości. Wyczuwałyśmy sztuczność naszych usiłowań.

Alina starała się być jakiś czas Ireną Forsyte, ale że to była za bardzo dystygowana postać, więc dość szybko się znudziła, tym bardziej że nikt poza najbliższą znającą ją rodziną nie potrafił się poznać na subtelnym, tajemniczym uroku, jaki zaczęła roztaczać dookoła siebie. Jej żywotność nie pozwoliła też za długo utrzymać się w tej roli.

Bardzo tego żałowałam, bo na moje nieszczęście czy szczęście następną po *Sadze rodu Forsyte'ów* książką, jaka Alinie wpadła w rękę, była A. Selinko *Byłam brzydką dziewczyną*. Nareszcie ta książka chwyciła, ale jak już nieraz stwierdziłam w pożyciu z Aliną, znów moim kosztem.

Bohaterka tej książki była brzydka, jak sam tytuł wskazywał, nieśmiała i bez widoków, a zdobyła sobie powodzenie życiowe dzięki temu, że każdy zarobiony grosz zanosila do kosmetyczek i fryzjerów, którzy jakoś ją tam wypięknili. Książka była głupia, ale ucieszyłam się, że dzięki niej Alina jakoś ruszyła z martwego punktu, gorzej tylko, że takie to było męczące dla mnie.

Po przeczytaniu tej nieznośnej książki Alina przymierzyła ją swoim zwyczajem do siebie, ale nic nie mogła wykombinować, bo była, jak zawsze, śliczna. Rzuciła się więc z impetem na mnie i na mnie zaczęła wypróbować doświadczenia z książki.

Ganiała mnie bez litości po fryzjerach, kosmetyczkach i krawcowych. Wyrzuciwszy za okno wszystkie moje pieniądze, wyrzucała potem swoje. Bo dla mnie wydawanie pieniędzy na takie głupstwa było zawsze wyrzucaniem ich za okno. Wydawało mi się, że właściwie jest mi wszystko jedno, jak wyglądam. Toteż bardzo się zdziwiłam, że rzeczywiście wyprzystojniałam i że sprawia mi to satysfakcję. Stwierdziłam, że rozwijająca się moja uroda i wytworna obecnie sylwetka

rzeczywiście poprawia mi samopoczucie i przestałam oburzać się na kobiety wydające na swoją urodę pieniądze, co dotychczas czyniłam z pogardliwą wyższością.

Ale z tym dobrym obecnie samopoczuciem też niewiele co mogłam zdziałać.

Święta Bożego Narodzenia postanowiłyśmy wyprawić bardzo hucznie i wesoło, ale nikt nie był w takim nastroju, więc też wszystkie projekty spaliły na panewce. Wobec tego urządziłyśmy choinkę dla Ptolemeusza. Małe drzewko obwiesiłyśmy parówkami, a wymyślne prezenty w postaci pięknych kokardek i nakręcanej myszki ubawiły tylko Ojca, który jeden trzymał się jakoś pośród tego zjełczałego nastroju.

W karnawale usiłowałyśmy balować i być „swawolnymi paniami” Brantôme'a, ale powodzenie, które obydwie teraz miałyśmy, wcale nas nie bawiło.

W poście Alina się zaziębiła i przechodziła anginę, bronchit, grypę z komplikacjami, grypę zwyczajną i zakończyła tę serię głupią, dziecinną wietrzną ospą.

Nasz kochany wuj sienkiewiczolog, który właśnie przyjechał do Warszawy, orzekł, że Alina jest Hanią Sienkiewicza i że po tej ospie będzie musiała pójść do klasztoru. Bardzo się to Alinie podobało, bo i utrafiło w te trzy krostki, które miała na twarzy, jak również w serce złamane przez... Selima.

Papierowa mizerność Aliny bardzo zmartwiła wujka. Tyle chorób na raz, pomimo że każdą z osobna nie była ważna, podkopało jej organizm i wuj, który Aliny od dawna nie widział, aż się przestraszył jej wyglądem. Operując więc, jak zawsze, Sienkiewiczem, stwierdził, że tę „nie domęczoną przez Krzyżaków dziewczkę” musi zabrać ze sobą do dziadków na wieś i tam ją odchuchać.

Ponieważ nie miałam w tym roku żadnych frapujących projektów na lato, wzięłam z biura dwa tygodnie urlopu i pojechałam z Aliną.

Wiosna przyszła bardzo wczesna i bardzo piękna, a że Wielkanoc w tym roku wypadła późno, była więc w bieli rozkwitających drzew owocowych. Chyba pierwszy raz w życiu zauważyłam uroki przyrody. Zawsze dotychczas jakoś wolałam tylko o tym czytać.

Pod opieką wujka odmłodziłyśmy i przypomniały nam się turnieje sienkiewiczologowskie. Nasza sława młojecka wymagała też kontynuowania tych zabaw i wykombinowania czegoś takiego, co zdziwiłoby i ubawiło wujka. Wpadłyśmy na pomysł, żeby na tradycyjne święcone pomalować jajka na pisanki - zgadywanki z *Trylogii*.

Zabawiliśmy się wraz z Żaninką, która tu przyjechała na święta ze swoim małym synkiem, Wawrzusiem, w trzy wiedźmy z *Makbeta* i gotując jajka deklamowałyśmy z przejęciem nad parującym garnkiem:

Bagnistego węża szczęka

Niech w ukropie tym rozmięka:

Żabie oko, łapki jeża,
Psi pysk i puch nietoperza,
Żądło żmii, łeb jaszczurzy,
Sowi lot i ogon szcurzy,
Niech to wszystko się na kupie
Warzy w tej piekielnej zupie.

Babcia słysząc te nasze deklamacje wstrząsała się ze zgrozy i narzekała, że odebrałyśmy jej apetyt na całe święta.

Wielką sobotę spędziłyśmy na malowaniu jajek. Podniecałyśmy naszą pomysłowość i inteligencję, ażeby jak najdowcipniej wyglądały małe obrazeczki na jajkach. Obrazki te miały symbolizować osoby i sceny z *Trylogii*.

Gdy cała rodzina zasiadła w pierwszy dzień świąt przy stole i gdy wuj dowiedział się, że wielka salaterka z jajkami przybrana barwinkiem zawiera pisanki - zgadywanki, porwał ją w swoje ramiona i zawołał:

- Nikomu nie dam skosztować święconego, póki nie odgadnę wszystkich obrazków! Ha! Urządziłyście dalszy ciąg naszego konkursu. Dobrze. Ale mnie nie złapiecie!

Wszyscy podnieśli wrzask, że też chcą zgadywać, ale wuj trzymał salaterkę mocno i nikomu nie chciał oddać. Kazał przynieść drugą, do której przerzucił malowniczo przed chwilą ułożony barwinek. Następnie brał jedno jajko za drugim i przekładając je mrucał z zadowoleniem:

- Fartuszek i kłębek różowy... Anusia Borzobohata. Bardzo łatwe. Wielki miecz i trzy główki w turbanach... Zerwikaptur! W rysunku wygląda ładnie, ale też jest łatwe.

Przy trzecim jajku trochę utknął, ale na krótko:

- Ki czort! Dzwon, kąt, litery „u Do”, 1/2 i litera „Y” - mrucał. - Rebusów się wam zachciało! Cicho! Szelmą jestem, jeśli nie zgadnę! Aha!... Dzwoniecki kąt u Dopuły. Widzicie?... Szpakami mnie za młodu karmiono! A co to znowu? Szabla z głową kobiecą zamiast rękojeści. Aha! Ja jestem Roch Kowalski, a to jest moja żona, pani Kowalska. Łatwe, ale dowcipne. Wy też siemieniem lnianym albo słonecznikowym musiałyście się podkarmiać!... Dwie dłonie i ptaszek... Helena, Skrzetuski i sokół.

Tak wuj zgadywał jedną zgadywanekę za drugą, ale w końcu utknął naprawdę i zhańbił teraz on swoją sławę mołojceją.

Nie mógł bowiem wykombinować, co znaczy rysunek termometru lekarskiego z bardzo długą czerwoną linią wykazującą wysoką temperaturę. Po paru minutach rozmyślenia o chorobie Basi Wołodziejowskiej w Chreptiowie, o chorobie Danusi w *Krzyżakach* ku radości wszystkich poddał się i był potem okropnie zły. gdy dowiedział się, że:

- „Pan Andrzej Kmicic był gorączka wielki”.

XXIII. JAK DWIE SIOSTRZYCZKI...

Mąż Żaninki przywiózł z sobą na święta dwóch kuzynów i na głowie zaczął stawać, żeby oni zainteresowali się nami, a my nimi. Wuj bardzo popierał te projekty i z całą zabawną powagą obiecywał, że wraz z babcią będzie na nas miał oko i że w odpowiednim momencie wpadną oboje do salonu z ikoną i młode pary pobłogosławią w imieniu rodziny, ażeby nikt nie mógł się wycofać i wykręcić.

Młodym ludziom owszem podobałyśmy się i „Poniatowski sunął do Żytyńskiej, a Bychowiec do Bohowitynianki”, czyli Karolek do Aliny, a Krzysztof do mnie, ale nam nie „jamory” były w głowie i uciekałyśmy do białego panińskiego pokoiku na facjatce, gdzie wolałyśmy dziewicze zwierzenia z Żaninką.

Nazywałyśmy młodych ludzi „mułami w końskiej uprzęży”, przypuszczalnie krzywdząc ich tym powiedzeniem bardzo, ale ciężko nam było zdobyć się na zdawkową nawet uprzejmość. Toteż odetchnęłyśmy z ulgą, gdy w dwa dni po świętach wszyscy goście rozjechali się i zostałyśmy tylko z rodziną.

Żanina przypuściła do nas prawdziwy szturm, chcąc się dowiedzieć o naszych przeżyciach, które знаła tylko z listów, a więc niezbyt dokładnie.

- Coś ty, Dyna, najlepszego narobiła, że zerwałaś z Barkisem - biadała nade mną. - Niewiele go znałam, ale wydawał mi się zawsze niesłychanie interesujący i...

- Zostaw Barkisa w spokoju i ani go nie wychwalaj, ani nie krytykuj. Nie o niego chodzi, ale o samą instytucję małżeńską.

- To jesteś głupia, bo małżeństwo jest bardzo przyjemną instytucją - roześmiała się Żaninka.

- Czy nie, Alino? Ty już tego próbowałaś, potrafisz więc mnie poprzeć.

- To zależy... - ponuro odezwała się Alina i urwała nie chcąc wciągnąć się do dyskusji.

- Nie, nie zależy. Szczęście w małżeństwie zależy od nas samych. Od mężów i od żon. Od naszej intensywnie trzymanej zawsze w pogotowiu dobrej woli... Co masz przeciw małżeństwu?

- Nic nie mam, jeśli idzie o innych. A wszystko, jeśli idzie o mnie. Po prostu nie nadaję się do małżeństwa, więc nie ma o czym mówić.

- Jest o czym mówić - despotycznie zawołała Żaninka. - Ulżyj sobie i rąb prawdę.

- Kiedy tę prawdę tak trudno sprecyzować. Zamiast mnie przyduszać, przeczytaj sobie urywki z *Przeminęło z wiatrem*... Nie! Nie śmieście się ze mnie, nie udaję Ashleya, ale w tych miejscach, gdzie on mówi o życiu, najlepiej rozumiem siebie. On tam mówi o uciekaniu od rzeczywistości i o uroku życia równie nierealnego jak gra cieniów na firance. Tak żyłam do moich nieszczęsnych zaręczyn z Barkisem. I mam zamiar tak żyć dalej.

- To straszne - jęknęła Żanina.

Nastrój zrobił się rzeczywiście dość smętny, więc żeby trochę je rozśmieszyć, zaczęłam

deklamować tyradę Filona z *Balladyny* pretensjonalnie przesadzonym głosem:

O luba!

Nie znaleziony twój obraz (pokazując na serce)

tu żyje!

Nieznalezie nie gorsze niżli zguba;

Jam cię nie znalazł, a widzą przed sobą!

Idę do lasu, gdzie będą sam... z tobą!

Błogosławiony wyobraźni cudzie,

Ty mnie ocalasz!

Alina poderwała się, a że *Balladynę* umiałyśmy obydwie na pamięć, odpowiedziała mi słowami Pustelnika, aż mi poszło w pięty:

Głupcze!

Niedoścignionych gwiazd szalony kupcze!

Precz! precz ode mnie, kwiecie beznasienny,

Studniom niezdatny jak stłuczone dzbanki,

Światowi jako słońca blask jesienny

Bezużyteczny.

Żaninka pokładała się ze śmiechu, a ja myślałam, że znów rzucę się na Alinę z pięściami.

Cóż miałam nieszczęśliwa robić ze sobą. Stroiłam się w szatę melancholii i wmawiałam w siebie, że tak żyję, jak chcę. Ona zaś deptała po tej całej tak wymyślnej konstrukcji, na której się wspierałam. Przecież każdy człowiek musi się na czymś wspierać, jeśli nie może na prawdzie, to chociaż niech to robi na urojeniu.

Alina zorientowała się, że mnie krzywdzi i zmieniawszy ton głosu powiedziała to, do czego w *Balladynie* byłam najbardziej przywiązana, ponieważ operowałyśmy tym bardzo często:

Usiądźmy tu obie

I mówmy z sobą otwarcie, roztropnie,

Jak dwie siostrzyczki.

Tu pociągnęła mnie za rękę i posadziła przy sobie na tapczanie.

Cisza zaległa pokój i tak siedziałyśmy w trójkę, nie bardzo wiedząc co powiedzieć.

Milczenie przerwała Żaninka.

- Siedzicie zupełnie jak dwóch Skrzetuskich na dwóch ruinach Rozłogów. Czy powtórzycie za mną: „Fiat voluntas Tua”? Myślę, że w tej sytuacji już tylko to można powiedzieć i pozostaje rezygnacja.

- O, nie! - zawołała Alina i jak podrzucona sprężyna wyskoczyła na środek pokoju. - Literaturą karmiłyśmy się od dziecka i ona zaopiekuje się nami. Słuchaj, Żanina! Jesteśmy z Dyną

okropnie już stare. Mamy teraz dwadzieścia pięć i dwadzieścia sześć lat, więc jesteśmy

...w tym wieku,

Gdy zwierzę ginie w człowieku;

Gdy już żadna z ziemskich chuci

Władzy ducha nie zakłóci!

Oczyszczony duch ulata

W harmonijne kręgi świata,

Dokoła człowiek spogląda

Nic nie pragnie, nic nie żąda,

W ciągłej ekstazie na jawie

Żyje się - za bezcen prawie.

A czas! - tu dopiero zyski:

Żaden ciała popęd niski

Roboczego dnia nie kurczy...

Widzisz, teraz Boy znów nas uratuje.

Tu Alina zaczęła odtwarzać nasz taniec wojenny z dziecięcych lat.

Poderwałem się z tapczanu i wraz z nią zaczęłam przytupywać, podskakiwać, potrząsać głową i podrzucać urojonym tomahawkiem.

Żanina przyglądała nam się spod oka, kołysząc Wawrzonka w ramionach, i gdy bez oddechu rzuciłyśmy się na tapczan, powiedziała:

- A tasiemkę czerwoną rzućcie za siebie. Albo na pierwszym noclegu ognisko wiadrem wody same zalejcie... Jeśli chcecie zapomnieć. Tak mądrze radził Charłamp Kmicicowi i ja wam tak radzę.

XXIV. KONIA Z RZĘDEM

Po powrocie od dziadków zastałam w domu kartkę od Anki, że chce się ze mną zobaczyć. Zadzwoiłam więc do niej z biura i umówiłyśmy się do kawiarni na nasze tradycyjne rozmowy o literaturze.

Anka zobaczywszy mnie ucieszyła się, że tak wyładniałam od czasu ostatniego widzenia i powiedziała zjadliwie, że pewno szczęśliwa miłość wpłynęła na mój wygląd zewnętrzny. Gdy opowiedziałam jej, jak urodę swoją zawdzięczam głupiej książce i pieniądzom wyrzucanym przez okno, zaśmiewała się do łez.

- Jesteś strasznie zabawna - powiedziała. - Wiesz, mam do ciebie prośbę. Chciałabym spotykać się z tobą co dwa tygodnie na pogawędki. Młodziej w twoim towarzystwie.

- Raczej głupiejesz - odpowiedziałam. - Ale ostatni raz, gdy widziałyśmy się, nie zauważyłam, żebyś tak była spragniona mego towarzystwa.

Anka spuściła oczy i zaczęła tak energicznie mieszać cukier w kawie, że o mało nie wymieszała wszystkiego na stolik.

- Mówmy o czym innym, O tym nieszczęsnym dla mnie wieczorze opowiem ci potem. Co teraz czytasz?

- *Lalkę* Prusa.

- Więc moje wykłady o systemie czytania nie przydały się na nic. Jesteś w dalszym ciągu jak pies kręcący się za własnym ogonem - irytowała się Anka. - Po starego diabła tracisz czas na czytanie *Lalki*? Przecież znasz ją na pamięć!

- Znam! A czytam i będę czytała! I co mi zrobisz? - powiedziałam zaczepnie.

- „Trzeba z żywymi naprzód iść, po życie sięgać nowe!” - zaczęła deklamować Anka, ale przerwałam jej.

- Owszem, trzeba naprzód iść, ale nie lecieć, jak pies z wywieszonym językiem, bo i tak nie dogonisz wszystkich książek, nie poznasz i nie przetrawisz wszystkiego.

- Widzę, że specjalizujemy się w psich porównaniach. Ty kręcisz się za swym ogonem, ja lecę z wywieszonym językiem. Wobec tego zamówmy sobie jeszcze trochę kości do ogryzania. Ty, jak zawsze, babki śmietankowe, a ja napoleonki.

- Słuchaj, Anko! - zaczęłam pojednawczo. - Nie wiem, czy cię przekonam, ale muszę ci wytłumaczyć to wszystko, co czuję, żebyś przestała się już raz na zawsze mnie czepiać. Dla mnie książki i osoby z książek są tak bliskie jak ludzie, a czasem, a nawet częściej bliższe niż ludzie. Przecież oszalałabym i zanudziła się, gdybym ciągle poznawała nowych i nowych ludzi. Znam Rzeckiego na pamięć, ale znam i ciebie na pamięć. Wiem, kiedy Rzecki co powie, ale też i wiem, jak ty zareagujesz na różne rzeczy, wiem mniej więcej, co kiedy powiesz, wiem, jaka jesteś.

Różnica jest tylko ta, że w życiu Rzeckiego nic się więcej dzieć nie będzie, a w twoim mogą się przytrafić różne, ale tylko zewnętrzne wypadki. Więc się nie złości, bo to jest zupełnie logiczne, że jeśli chcę być w zakresie twojej osobowości, to się z tobą spotykam, a jeśli chcę pobyc w towarzystwie starego subiekta lub Colasa Breugnona, lub Wołodyjowskiego i Zagłoby, to biorę te książki, no i spędzam czas uroczu w ich towarzystwie. Nie wyrzekaj się starych przyjaciół dla nowych znajomości, Anko! - zakończyłam żarliwie.

- Trochę to tak, jakbyś miała rację. Ale tylko trochę. W każdym razie przestanę ci dokuczać. I wiesz... Jak wrócisz do domu i weźmiesz się do *Lalki*, to pozdrów ode mnie bardzo serdecznie pana Rzeckiego i pana Ochockiego, a studentom powiedz, że wkrótce ich odwiedzę - śmiała się Anka.

- Nie omieszkam tego zrobić i wiem, że bardzo się ucieszą.

Miły i pogodny nastrój wzajemnego poszanowania zamiłowań wrócił i mogliśmy swobodnie gadać znów o stosach książek już przeczytanych i o piramidach książek, które przeczytamy.

Na zakończenie miłego popołudnia Anka powiedziała:

- Chciałam cię jeszcze przeprosić za tamten wieczór w teatrze. Pamiętasz? Miałam wtedy bardzo przykre przeżycia i byłam okropna dla siebie i dla wszystkich naokoło. Nie mogłam się też zupełnie zdobyć na uprzejmość w stosunku do ciebie... A kiedy twój ślub? Bo obrączki jeszcze nie widzę na twoim palcu.

- Nigdy - odpowiedziałam ze złością. - Właśnie tego wieczoru zerwałam z narzeczoną.

- Ale chyba nie przeze mnie?

- No pewno, że nie przez ciebie - odpowiedziałam, żegnając się z Anką.

Konia z rzędem temu, kto powie mi przez kogo i dlaczego właśnie tego wieczoru stało się to, co się stało - rozmyślałam wracając do domu.

XXV. ...BEZ TAK PACHNIAŁ - JAK BEZ

Zaraz na drugi dzień w biurze przyszedł do mnie Wiktor i powiedział, że musimy się spotkać po południu w kawiarni, bo ma ze mną coś ważnego do obgadania.

Powariowali z tym kawiarniami - myślałam. - Wczoraj Anka, dziś Wiktor.

Miałam iść co prawda do Reni, ale Wiktor stał nade mną z taką miną, że zorientowałam się, że muszę mu dać pierwszeństwo.

- Po co do kawiarni? - powiedziałam. - Wiesz przecież gdzie mieszkam, więc przyjdź do nas.

- Nie! Nie przyjdę! To ty musisz przyjść do kawiarni.

- Alina jest u dziadków pod Częstochową, nie spotkasz się z nią. A wiesz przecież, jak Ojciec i Matka cię lubią, więc proszę, przyjdź do nas - powiedziałam kusząco miękkim tonem.

Cień cienia nadziei zaczął mi świtać. A może udałoby nam się wspólnymi siłami pogodzić tę postrzeloną parę?

- Nie, nie przyjdę. Sama wiesz dobrze, jak i ja jestem przywiązany do rodziców. Ale tym bardziej nie chcę i nie mogę się z nimi widzieć. Bądź u Bliklego punktualnie o piątej.

- Dobrze - odpowiedziałam uśmiechając się do niego najśłodziej jak potrafiłam.

W domu opowiedziałam o bytności u mnie Wiktora i o moich przypuszczeniach, że to jest pierwszy krok z jego strony. Z przejęcia nie mogliśmy jeść obiadu.

- Mój Boże! Mój Boże! - powtarzała Matka i ręce jej się trzęsły, gdy podawała do stołu.

- Cieszę się, że mam was obie w domu, moje panny córki, ale wolałbym, żeby Alina nie porzucała Pana Micawbera - powiedział Ojciec.

- No ale gdy się pogodzą, to powiedzcie mi, czy jak już unieważnili swoje małżeństwo, to będą musieli brać jeszcze raz ślub, czy ten pierwszy wystarczy? - zaczęła skomplikowanie dopytywać się Matka, przyciskając salaterkę do wezbranego wzruszeniem łona.

Ryknęliśmy z Ojcem śmiechem, co uraziło Matkę.

- Ja jestem Puchatek o bardzo małym rozumku, więc skąd mogę wiedzieć, jak to jest z tymi skomplikowanymi przepisami prawnymi - powiedział Ojciec. - Ale najpierw niech się pogodzą, a potem będziemy się martwić o te rzeczy. - Tu zwrócił się do mnie. - Dyna! Od ciebie teraz wszystko zależy. Musisz być dzisiaj bardzo mądra, bardzo inteligentna, bardzo subtelna. Nie przegap tej okazji! W twoich rękach jest teraz szczęście Aliny.

- To ja pójdę do kościoła i pomodłę się na tę intencję - ohotnie zgłosiła swoją pomoc Matka.

- A wracaj jak najprędzej do domu, bo my tu siedzimy jak na rozżarzonych węglach - zawołał za mną z okna Ojciec.

Szłam Krakowskim Przedmieściem i Nowym Światem okropnie zdenerwowana. Jak tu zaraz na zawołanie być mądrą, inteligentną i subtelną? Układałam sobie całe przemowy do Wiktora, wiedząc z góry, że na pewno z nich nie skorzystam, bo takie przyszykowane zdania przed ważnym momentem życiowym mają to do siebie, że jak spłoszone króliki rozbiegają się na wszystkie strony świata, a w głowie pozostaje zwykle kompletna pustka i trzeba wszystko kombinować od początku i improwizować na poczekaniu.

Wiktor czekał już na mnie. Był nastroszony, poważny i bardzo przejęty. Od razu wyczułam, że jego nerwy napięte są do ostatnich granic.

Zatarłam w myśli ręce z radości. Ha! Jak tak, to dobra nasza! Już go nie wypuszczę ze szponów. Szkoda tylko, że nie ma Aliny w Warszawie, bo przytroczonego do siodła zawlekłabym go zaraz do jej stóp. Huragan myśli przelatował mi przez głowę. Jak to zorganizować, żeby jak najprędzej było po wszystkim.

Już wiem... Natychmiast z cukierni popędzę na pocztę i wyślę telegram, że Ojciec jest ciężko chory. Alina przerazi się, zaraz wsiądzie w pociąg i jutro już będę mogła śpiewać wraz z Zagłobą:

Dwoje nas było, Kasieńko, dwoje na świecie

Ale mi siej coś wydaje, że jedzie trzecie!

Wiktor kręcił się na krześle zdecydowanie nerwowo i widać było, że i jego przyszykowane przemowy rozleciały się na wszystkie strony świata i że w głowie ma kompletną pustkę.

Widok przeciwnika, z którym ma się stoczyć pojedynek na śmierć i życie, w opresji i zapeszonego dodaje zwykle pewności siebie. Wraz z pewnością wrócił mi dobry humor. Muszę biedakowi pomóc - rozmyślałam. - Zacznę od jego ukochanego „Snarka”.

- Sezon już się zaczął... I taka piękna wiosna... Czy dużo pływasz na „Snarku”? Czy mnie zaprosisz na przejażdżkę? - zaczęłam jak najprzypochlebniej.

Zamiast się rozanielić, co zawsze robił na wspomnienie żeglarskich wyczynów, Wiktor zrobił się jeszcze bardziej ponury. Spojrzał na mnie ze złością i powiedział:

- Nie wspominaj mi nic o „Snarku”! Już jest prawie sprzedany. Pierwszego czerwca kupi go ode mnie jeden gość. Nigdy więc na nim nie będziesz już pływała.

- Och! Nie rób tego! Wiktor, błagam cię!

- Zrobię to! Po co mi „Snark”, jeśli nim nigdy już nie będę żeglował. W zamian za to kupuję motocykl. Już mam prawo jazdy.

- Och! Nie rób tego. Motocykl to taka obrzydliwa, hałasująca rzecz. I tak łatwo na nim kark skrócić. A „Snark”...

- No to skręć kark i wszystko będzie w porządku. Przestań gadać teraz o „Snarku”. Nie po to ciebie tu wezwałem.

- A ja myślałam... - zawołałam rozczarowana.

- To nie myśl! Tylko słuchaj! Miałem to wszystko bardzo mądrze i subtelnie przeprowadzić, ale pojęcia nie mam teraz, jak to zrobić... Słuchaj, to o ciebie chodzi... Musisz wszystkiego wysłuchać. A straciłem tyle czasu... Słuchaj! Za pięć minut przyjdzie tutaj Barkis. Nie wytrzeszczaj oczu. Obiecałem mu, że was pogodzę. To bardzo porządny chłop. Jeśli za niego nie wyjdiesz, to wytrzęsę z ciebie wszystkie kości... On kocha cię prawdziwie.

Siedziałam jak sparaliżowana. Wszystkiego mogłam się spodziewać, ale nie tego.

- Skąd ty i Barkis? Przecież go zawsze nie lubiłeś - wyjąkałam.

- Nie lubiłem, bo go nie znałem! - krzyknął Wiktor. - Ale teraz go znam i znam ciebie, i wiem, że tylko z nim będziesz szczęśliwa, o ile szczęście istnieje na tym świecie.

- Ale w jaki sposób spotkaliście się?

- Nie znasz życia mężczyzn. Spotkaliśmy się przy kieliszku. Rozumiesz? Takich dwóch niedoszłych szwagrów zalewających robaka. Doszedłem do przekonania, że to nie ma najmniejszego sensu i zaprzysiągłem sobie, że mu pomogę i pamiętaj, jeśli teraz, jak on przyjdzie, nie będziesz dla niego słodka i będziesz się wygłupiać, to spiorę cię tutaj zaraz na kwaśne jabłko.

Tu poderwał się i popędził w kierunku drzwi. Za chwilę wraz z Barkisem stali nade mną.

- Wszystko w porządku, Stachu - powiedział dobitnym głosem Wiktor. - Dyna przyznała się, że cię kocha, przyznała się, że jest idiotką i oczy teraz spuszcza, bo ich od psa chce pożyczać.

Był późny wieczór. Siedzieliśmy z Barkisem w Ogrodzie Botanicznym i pewnie tylko dzięki Słonimskiemu:

...tak się jakoś stało

Że bez tak pachniał - jak bez,

I słowo „pachnieć” pachniało,

I łyzy były pełne łez.

XXVI. WOLEĆ CIĘ NIŻLI KRÓLESTWO, NIŻLI SCEPTR...

Gdy wróciłam do domu prawie o północy, rodzice wpadli na mnie z furją, że tak długo trzymam ich w niepewności. Bardzo mi było przykro, ale zupełnie o nich zapomniałam.

To było naprawdę wielkie świństwo z mojej strony.

Gdy jednak wszystko opowiedziałam, przebaczyli mi, a Matka z wielkiej szczęśliwości zaczęła nawet ronić łzy.

- No a Wiktor i Alina? - zapytał Ojciec, gdy Matce pierwsza radość spłynęła ze łzami.

- Nic się o nich nie martwcie. Stach przecież zrewanżuje się Wiktorowi. Oni się z sobą zaprzyjaźnili i Stach mi powiedział, że jeśli idzie o Wiktora, to aż piszczy w nim wszystko, żeby pogodzić się z Aliną. Gorzej Barkis się boi Aliny. Żeby się nie zacięła w uporze. Pytał się mnie, w jaki sposób tak świetnie i dyplomatycznie Wiktor załatwił jego sprawę ze mną. Chciał się doksztąpić i skorzystać z tego doświadczenia przy rozmowie z Aliną. Gdy mu powiedziałam, że dyplomacja Wiktora ograniczyła się do zagrożenia mi pogruchootaniem kości i spraniem na kwaśne jabłko u Bliklego, to Stach tak ryczał, że aż spłoszył dwie całujące się pary w Ogrodzie Botanicznym.

- To my tu czekamy, a ty włóczysz się po ogrodach botanicznych - zaczęła znów z wyrzutami Matka. - Nie mogliście przyjść z panem Stolarczykiem do domu?

- Nie bądź naiwna! - poskromił ją Ojciec. - Wszystko w porządku, córeczko! - dodał patrząc na mnie z uśmiechem. - A czy możesz nas wtajemniczyć w wasze plany?

Jutro załatwimy wszystkie formalności ślubne, i to w taki jakiś przyspieszony sposób. Ślub weźmiemy cichy i nikogo nie zaprosimy, poza wami, Aliną i Wiktorem. Jak Zagłoba nie lubimy tłoku. A rodzinka nasza byłaby nieznośna. Niech się dowiedzą po wszystkim. Jeśli przed ślubem nie uda nam się pogodzić Aliny z Wiktorem, to wszyscy w czwórkę przydusimy ich w dniu naszego ślubu. Puchatkowe małe Conieco do jedzenia ty przyszykujesz, Mamo, u nas w domu. Wszystko już ze Stachem ułożyliśmy. Musimy ten ślub i pogodzenie odwalić jeszcze w maju, zanim Wiktor sprzeda „Snarka”. Będzie musiał zmienić te projekty, chcemy bowiem odbyć podróż poślubną na „Snarku”, w namiotach, pod gwiazdami...

- Zawsze wydawało mi się, że nie lubisz włóczenia się na łonie natury. Ale widzę, że myliłem się kompletnie.

- Dawniej nie lubiłam, ale teraz mam na to ogromną ochotę - roześmiałam się.

Następnie rada rodzinna zdecydowała wysłać do Aliny listy nabrzmiałe tęsknotą, ażeby ją jak najprędzej ściągnąć do Warszawy.

I na tym skończyły się nocne rodaków rozmowy.

Alina przyjechała rzeczywiście w kilka dni później i robiła się coraz bardziej smętna, gdy

patrzała na naszą rozkwitającą szczęśliwość z Barkisem. A my wychodziliśmy ze skóry, ażeby udręczyć ją jak najbardziej i czuliliśmy się do siebie na jej oczach do obrzydliwości.

Aż przyszedł dzień...

Rano siedziałam w biurze i gnałam robotę jak szalona, ażeby przed czerwcowym urlopem zostawić swój dział w jak największym porządku. Gdy nagle weszły do pokoju dwie koleżanki z wydziału, w którym pracował Wiktor.

- Jak to?! Nic pani nie wie?! - zawołały jednocześnie.

- Co mam wiedzieć? Co się stało? - zapytałam zaniepokojona.

- Gazety już dziś piszą o tym. A pani tak spokojnie pracuje.

- O czym piszą gazety?

- No, że pan Wiktor miał wczoraj wypadek motocyklowy. Najechał na niego tramwaj i samochód ciężarowy.

Serce zupełnie podjechało mi pod gardło i nie mogłam złapać tchu.

Wszyscy zerwali się od biurka i otoczyli nas.

- Ja to widziałam - opowiadała jedna z nich. - Minał mnie na rogu Nowego Świata i placu Trzech Krzyży. Jechał na motocyklu. Zobaczył mnie, uklonił się i uśmiechnął. I zaraz potem usłyszałam przeraźliwy wrzask hamulców i łoskot, i ludzie lecieli, i ja pobiegłam też, ale nie mogłam się przepchać, bo policja nie dopuszczała. A widzieć nie mogłam, bo z jednej strony stał tramwaj, a z drugiej samochód. Zaraz też nadjechało pogotowie i zabrało go.

Rozsunęłam ludzi i jak błędna rzuciłam się do telefonu. Nakręciłam numer Stacha i zwymyślałam jakiegoś urzędnika, który dowodził mi, że pan naczelnik jest na ważnej konferencji. Gdy nareszcie usłyszałam jego głos, zaczęłam ryczeć w telefon i zupełnie nie mogłam mu wytłumaczyć, co się stało. Gdy wreszcie zrozumiał, krzyknął:

- Zwolnij się zaraz z biura i czekaj na mnie przed magistratem! Już wychodzę, z ministerstwa i zaraz przyjadę po ciebie taksówką.

Zadzwoiłam jeszcze do Ojca, który przed chwilą dowiedział się z gazet o wypadku Wiktora.

- Zwalniam się z biura i jadę do domu. Czy Alina wie?

- Nie wiem - odpowiedziałam. - Pojedziemy po nią ze Stachem. Boję się do niej dzwonić.

- Dajcie znać jak najprędzej do domu, bo z Matką poszalejemy.

- Dobrze - zawołałam i wyleciałam z biura, zapomniawszy się zwolnić.

W taksówce przerywanym od płaczu głosem opowiedziałam Stachowi, że Wiktor miał przecucie, że na tym okropnym motocyklu kark skręci, bo mówił mi to wtedy w kawiarni.

Pognaliśmy na Pragę do urzędu skarbowego, w którym pracowała Alina. Ja zostałam w samochodzie, bo byłam już zapuchnięta z płaczu, a Stach pobiegł do biura. Wrócił po chwili sam.

Aliny już nie zastał. Powiedziano mu, że przed pół godziną ktoś telefonował do niej i natychmiast wybiegła z biura nic nikomu nie mówiąc.

Zaczelśmy jeździć po szpitalach i szukać Wiktora ze straszliwym lękiem, czy zastaniemy go przy życiu, i gonić Alinę, ażeby się nią zaopiekować.

Była już godzina druga, gdy zjawiliśmy się ze Stachem w naszym domu.

Widząc wystraszone i blade twarze rodziców, zaczęłam znów popłakiwać, równocześnie śmiejąc się, a Stach prędko wołał:

- Wszystko w porządku! Proszę się nie martwić! Wiktor wcale nie jest ciężko ranny. Ludzie i gazety zawsze przesadzają.

- Opowiadajcie - odsapnął Ojciec.

- Dzięki Bogu! Dzięki Bogu! - pojękiwała Matka.

- Przestań! - zawołał do niej Ojciec. - Opowiadaj - zwrócił się do Barkisa.

- Wiktor rzeczywiście uległ wypadkowi. Najechały na niego z dwóch stron: tramwaj i samochód ciężarowy. Ale miał chłop szczęście, bo najwięcej dostało się motocyklowi. Wiktor wyszedł z tego zupełnie obronną ręką. Ma niewielką dziurę w udzie, trochę rozbitą głowę i zwichniętą rękę. Za cztery, pięć dni wyjdzie ze szpitala.

- A Alina? - zapytał Ojciec.

- Co z Aliną, to opowiem już ja! - zawołałam dorwawszy się do głosu. - Więc Wiktor leży na łóżku z ręką na temblaku, na głowie ma romantyczny bandaż, który bardzo ładnie kontrastuje z jego opaloną cerą, a na twarzy rozlany głupekowaty uśmiech, pewnie z wielkiej radości, bo Alina klęczy koło jego łóżka i coś mamrocze.

- Nie kończ! - przerwał mi roześmiany Ojciec. - Nie byłaby to moja córka, gdyby nie mówiła: JĘDRUŚ, RAN TWOICH NIE GODNAM CAŁOWAĆ.

Tym odezwaniem Ojciec, jak to się mówi, „wyjął mi z ust” puentę i zepsuł tak efektowne zakończenie tej opowieści o mojej siostrze, o mnie i o książkach.

Sopot 1958